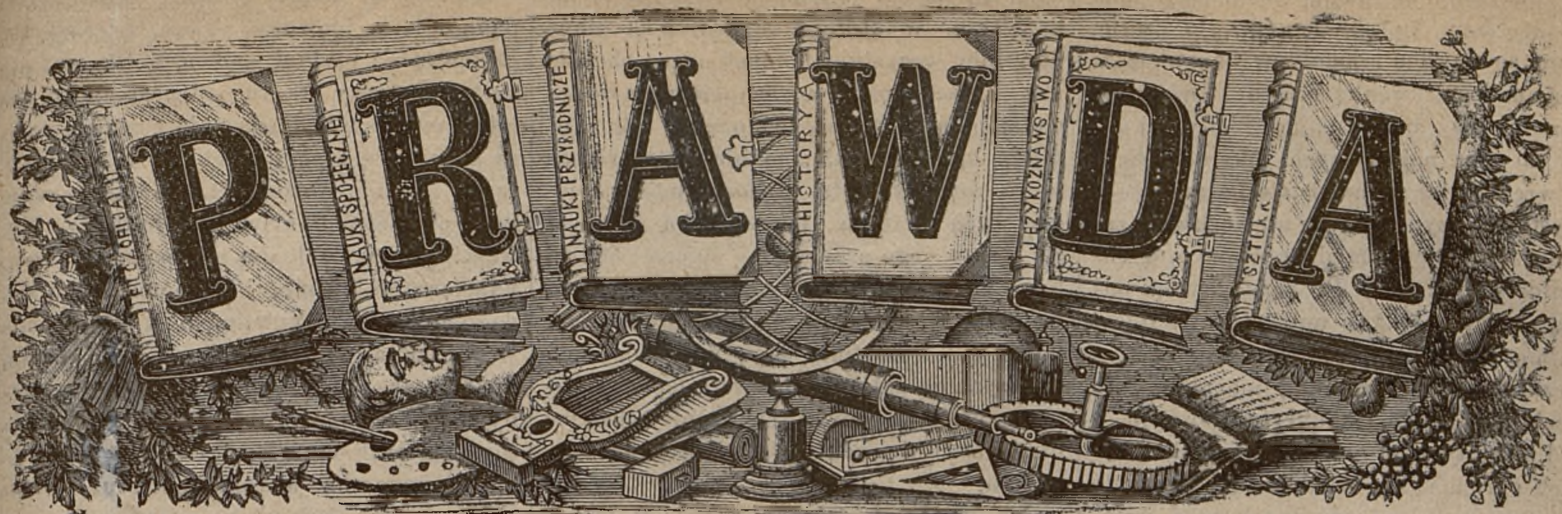
№ 38. Warszawa, dnia 22 (10) Września 1888 r. Rok VIII.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

W dniu 15 b. m. stolica Rusi chełmskiej była zaszczycona pobytem Najjaśniejszego Pana, a nadto Najjaśniejszej Pani, Cesarzewicza Następcy Tronu oraz W. Książąt Jerzego i Włodzimierza Aleksandrowiczów i Mikołaja Mikołajewicza młodszego. Jednocześnie przybyli ministrowie dworu i wojny, generał-adjutanci Richter i Daniłowicz, marszałek dworu ks. Obolenski i inne osoby z orszaku. Pociąg Cesarski przybył na stacyę o godzinie 4 minut 23 po południu. Tutaj mieli szczęście przedstawić się Najjaśniejszemu Panu Główny naczelnik kraju, generał-adjutant Hurko, hr. Musin-Puszkin, komendant 14 korpusu armii, generał-lejtnant Narbut i naczelnik sztabu wojsk, generał-adjutant Nagłowski. Przeszedłszy przed frontem i powitawszy wartę honorową (z 64 pułku moskiewskiego imienia Cesarzewicza Następcy Tronu), Najjaśniejszy Pan udał się na stacyę, tonącą wśród girland i zieleni. Tutaj małżonka gubernatora lubelskiego, S. A. Tchorżewska, miała szczęście wręczyć Najjaśniejszej Pani bukiet z róż. Następnie udano się ze stacyi do soboru. Świątynia ta stoi na wierzchołku stromej góry, w odległości trzech wiorst od stacyi. Na całej tej przestrzeni zgromadzili się tłumnie włościanie, przybyli z blizkich i najdalszych okolic Rusi chełmskiej, aby spojrzeć na swego Monarchę. Przy wjeździe do miasta wznosiła się wspaniała brama tryumfalna z napisem: „Boże, Cesarza chroń;" za nią następowała inna, jeszcze wspanialsza, na której zdala widać było napis: „Raduj się, Rusi chełmska, oto Twój Monarcha przybywa!" Tutaj Najjaśniejszy Pan, wyszedłszy z powozu, przyjął chleb i sól, podane przez wójtów gmin z powiatów: chełmskiego, hrubieszowskiego, biłgorajskiego, zamojskiego, krasnostawskiego i tomaszowskiego na tacy z napisem: „Monarsze Swemu włościanie Rusi chełmskiej. Chełm d. 2 września r. 1888." Taca przykryta była obrusem, na którym napis brzmiał: „Nie wierz cudzym słowom, ale wierz swoim oczom" i „Gdzie serce leży, tam oko patrzy." Przy wręczaniu chleba i soli wójt gminy wypowiedział następujące powitanie: „Wielki Monarcho! U wrót Swojej ojczystej świątyni, wiernopoddańcza Ruś chełmska wita Ciebie, Ojca swego. Udziel nam łask swoich i przyjmij czyste dary ziemi naszej, nasze ruskie: chleb i sól!"

Podziękowawszy deputacyi, wśród której znajdował się naczelnik powiatu chełmskiego, rz. r. st. Jemcow, i komisarz miejscowy do spraw włościańskich, Sławiński, oraz delegaci włościan z gub. siedleckiej z komisarzem powiatu konstantynowskiego, Najjaśniejsi Państwo weszli po schodach, prowadzących na górę. Droga, po której postępowali Najjaśniejsi Państwo, usiana była kwiatami. Z obu stron drogi stali szpalerami wychowańcy chełmskich zakładów naukowych: szkoły żeńskiej Maryjskiej, gimnazyum męskiego, seminaryum nauczycielskiego, seminaryum duchownego i szkoły duchownej. Harmonijny śpiew hymnu narodowego ruskiego, wykonywanego przez tysiąc młodych głosów, radosny dźwięk dzwonów i potężne „hura!" piętnastotysiącznego tłumu, robiły prawdziwie wstrząsające wrażenie. Przy wejściu do soboru I. C. Mości powitane były przez liczne duchowieństwo (około 100 duchownych), z arcybiskupem chełmsko-warszawskim, przew. Leoncyuszem, i biskupem lubelskim, Flawianem, na czele. Przew. Leoncyusz, w tych samych szatach, w których asystował na koronacyi Najjaśniejszego Pana, powitał Najdostojniejszego Gościa mową.

Następnie Najjaśniejsi Państwo ucałowali krzyż i skierowali się ku Carskim wrotom. Tymczasem cudowny obraz Matki Boskiej chełmskiej opuszczony został na sam środek Carskich wrot. Najjaśniejszy Pan zgiął kolana i następnie ucałował obraz. Toż samo uczynili inni Członkowie Familii Cesarskiej. Przy powrocie Ich C. Mości tłumy ludu rzuciły się za powozem i bez względu na odległość biegły aż do stacyi kolei, skąd Najjaśniejsi Państwo udali się dalej do Spały. Dzień 2 września pozostanie w pamięci całej ludności chełmskiej i niewątpliwie zyska to znaczenie, na które wskazywał w mowie swojej nasz przew. arcypasterz. Miasto w dniu tym wyglądało uroczyście, jak w jakie święto historyczne. Pogoda cały dzień była piękna."

(*Warsz. Dniewnik*).

Abonentów kwartalnych prosimy o możliwie wczesne odnowienie przedpłaty dla uniknięcia opóźnień w wysyłce *Prawdy.*

Nakładem naszym wyjdzie w miesiącu bieżącym

PORADNIK LEKARSKI

d-ra F. Rajkowskiego.

Będzie to (encyklopedycznie ułożona) książka, wskazująca we wszystkich ważniejszych wypadkach niezdrowia środki zaradcze, lecznicze i hygieniczne. Ułożeniu jej i wydaniu przewodniczyła myśl, że jakkolwiek najwłaściwszym i najumiejętniejszym doradcą w każdej chorobie jest lekarz, bywają położenia, w których możność i obowiązek pomocy spoczywa jedynie na opiece domowej. Ludzie biedni, mieszkający zdala od miast, wreszcie zaskoczeni nieszczęściem nagle, muszą natychmiast spieszyć z ratunkiem, o którym często nie mają żadnego wyobrażenia. Idzie o to, ażeby ów ratunek był możliwie najumiejętniejszym i najskuteczniejszym. Jeżeli zaś posiadamy w domu poradniki kucharskie, to chyba potrzebniejszym jest lekarski, który nieraz może uratować życie człowieka lub osłabić niebezpieczeństwo, zanim je doktór usunie.

Drugą część książki stanowi wykaz środków **Apteczki domowej.**

Nasz **Poradnik** *kosztować będzie (w oprawie) rs. 1, z przesyłką pocztową rs. 1 k. 20.*

POLITYKA.

TRZECI Z TRÓJCY.

Według przysłowia: „gdzie jest dym, tam musi być ogień," czyli — w każdej pogłosce tkwi jakaś odrobina prawdy. Rzeczywiście

nie pamiętamy ani jednej ważniejszej plotki politycznej, któraby po pewnym czasie, obrana ze zmyśleń i dodatków, nie ukazała bodaj małego ziarenka prawdy. Dzisiejsza czujność prasy, nieusypiająca nigdy, jej dostęp do sfer najwyższych, jej środki śledcze, wreszcie jej zuchwalstwo i zręczność— wszystko to czyni prawie niemożliwem zakrycie tajemnicy przed argusowym wzrokiem dziennikarzów. Ile razy więc oni puszczą w obieg jakąś nowinę, czytelnicy, pomimo zaprzeczeń, nie widzą w niej już „kaczki,“ błędnego ognika, ale mniej lub więcej wierny odblask ukrytego światła.

Od kilku tygodni powtarza się stale w gazetach europejskich wiadomość o podziale lub ograniczeniu władzy kanclerza niemieckiego. Jego przyboczny organ ciągle wyśmiewa te doniesienia, odmawiając im wszelkiej podstawy, a one tymczasem zabite zmartwychwstają uparcie i głoszą światu ważną nowinę. „Coś tkwi po za tem“—mówią niemcy — ale co? Objaśnienia podjęła się *Independance Belge*, której wywody są łudząco trafne i dlatego zasługują na uwagę. Oto rozumowanie dziennika brukselskiego, powtarzane wszędzie a nawet w łamach *Nordd. Allg. Ztng.* „Wieść o rychłem jakoby przekształceniu zarządu puściły w świat sfery polityczne bardzo księciu Bismarkowi blizkie (w każdym razie bliższe aniżeli stronnictwo Richtera) jedynie w tym celu, żeby mu delikatnie dać do zrozumienia, że już dla niego czas wybrać sobie następcę, tak samo, jak to uczynił feldmarszałek Moltke. Co prawda, kanclerz nie ugina się jeszcze tak pod brzemieniem starości, ma bowiem lat 73; ale przytaczają za to w Berlinie, że i Moltke nie teraz dopiero, lecz dawno już, gdy jeszcze nie doszedł do obecnego wieku kanclerza, pomyślał o wyborze swego następcy, którym stal się też istotnie hr. Waldersee, przez niego samego wskazany na to stanowisko. Zresztą rola Moltkego w wielkim sztabie armii niemieckiej pod względem nadmiaru pracy nie daje się nawet porównać ze stanowiskiem kanclerza, w którego rękach są skupione literalnie wszystkie kompetencye; obecnie jest on, rzec można, wszechpotężnym do tego stopnia, iż żadna, cokolwiek tylko doniosła sprawa publiczna nie może być bez niego rozstrzygniętą. Jeden z najsprawiedliwszych zarzutów, jaki spotyka go nawet ze strony jego przyjaciół, opiera się na tem, że w całem państwie niemieckiem wszystko jest w ten sposób urządzonem, jakby kanclerz istniał sam, jakby on jeden był w stanie załatwić pierwszą lepszą sprawę, a nie potrzebował się nigdy obawiać utraty tych niezwykłych zdolności i sił fizycznych.

Już sam ten fakt, że pogloska o mającem jakoby nastąpić ograniczeniu władzy kanclerza utrzymywała się przez długi czas na szpaltach organów najliberalniejszych, a jednak dopiero bardzo późno została urzędownie zaprzeczoną — świadczy, że powstała ona w tego rodzaju sferach, które można uważać za bardzo ściśle obznajmione z poglądami i skłonnościami młodego cesarza. Dziwnemby też było rzeczywiście, gdyby ten sam cesarz, który w armii otworzył tak demonstracyjnie drogę młodym żywiołom i odmłodzenie wojska uznał za swe pierwsze zadanie, miał natomiast w administracyi państwowej wszystko po staremu zostawiać. Tem tłomaczy się tyle razy już ostatnimi czasy powtarzana wieść, jakoby między ks. Bismarkiem a Wilhelmem II zachodziła już zasadnicza różnica poglądów. Poruszenie więc sprawy reorganizacyi zarządu cesarstwa niemieckiego było niczem innem, jak rodzajem balonu próbnego, puszczonego nie przez wrogów, lecz właśnie przez przyjaciół kanclerza, którzy w ten sposób chcieli mu dać życzliwą wskazówkę; temu jedynie wypadałoby przypisać, że sprawa powyższa była rozbieraną w pismach skądinąd z partyą Richtera bynajmniej niesympatyzujących i dla tego stronnictwa wprost niedostępnych.

Istotnie w kołach blizkich kanclerzowi panuje teraz poważna obawa, że jeżeli ks. Bismark nie postąpi śladem Moltkego i nie zrobi pierwszy kroku patryotycznego, to łatwo może się wydarzyć, iż zostanie zmuszonym do ustąpienia i to w daleko wyższym stopniu, aniżeliby się to dało powiedzieć o świeżej dymisyi hr. Moltkego. Nie wątpimy, że Wilhelm II podziwia teraz kanclerza tak samo, jak go podziwiał, będąc jedynie ks. Wilhelmem a potem następcą tronu. Ale Wilhelm II, jako cesarz, nie jest względem osoby Bismarka związany sławnem „nigdy,“ które krępowało ostatnie lata Wilhelma I, od czasu, gdy zgrzybiały monarcha w roku 1881 tem jednem słowem odpowiedział na chęć, wyrażoną (szczerze, czy nieszczerze) przez kanclerza, podania się do dymisyi. Wilhelm II ma obecnie lat 28, a dla tak młodego monarchy ks. Bismark posiadałby jako doradca już poniekąd niewygodny wiek. Oprócz tego przemawia przeciw kanclerzowi to, że przez długi czas zarządzał zupełnie samoistnie pod monarchą, który już był bardzo starym, prawie zgrzybiałym. Minister — szczególnie minister tego kalibru i charakteru, co ks. kanclerz, nie może być tym doradcą, którego pragnie monarcha — nadto tak młody, jak obecny cesarz Niemiec.

Pod tym względem przewidujący przyjaciele ks. Bismarka nie oddają się żadnym złudzeniom. Niedawno jeszcze, gdy pewien członek partyi feudalnej w rozmowie z jednym przyjacielem i stronnikiem kanclerza, wspominając z żalem o dymisyi Puttkamera, wyraził się w tym duchu, że krótkie panowanie Fryderyka III było właściwie jeszcze o wiele za długiem, otrzymał następującą charakterystyczną odpowiedź: „Przeciwnie, powinniśmy sobie winszować, że Fryderyk III zdążył jeszcze przez kilka tygodni panować; podczas tych 100 dni ks. Bismark siłą rzeczy musiał się z tą myślą oswoić, że przestał już być doradcą 90-letniego starca i mógł się przynajmniej przy-

---

2)

Strachy Pentelikonu.

Pierwsi roznosiciele nowiny zmyśleniami objaśniali pytających, kim był ów tajemniczy człowiek, którego imieniem Pentelikon jęczał i straszył. Nikt go bowiem dobrze nie znał, ale zapewniano, że mu złowrogi płomyk w oczach migocze. Z tem większą skwapliwością płynął przez ulice miasta ku Areopagowi tłum ludu, łaknący ujrzeć Alkamenesa i usłyszeć od sądu wynik śledztwa. Ciżba zapchała plac, niepokojąc się czekaniem. Wreszcie przeleciał po ustach gorączkowy szmer: idzie.

Szedł spiesznie pośród dwu dozorców miejskich, przecinając stłoczoną masę ludzi, którzy mu uparcie drogę zagradzali. Ściągła, śniada jego twarz drgała tłumionem wzruszeniem, z pod zsuniętych brwi przebłyskiwały spojrzenia niecierpliwego gniewu i dumy, na wargach zawieszał się co chwila szyderczy uśmiech, a ręka z godnością odgarniała natrętów. Szybko prześliznąwszy się smukłą postacią przez szczeliny gęstniejącej około niego gromady, wbiegł do Areopagu.

Sąd oczekiwał go w pełnem zgromadzeniu i natychmiast przystąpił do badania.

— Obecny tu pasterz — rzekł przewodniczący — słyszał kilkakrotnie imię twoje, brzmiące z Pentelikonu. Ponieważ musi to być głos boski, żądający jakiegoś zadośćuczynienia, więc wezwaliśmy cię w tej sprawie. Skąd jesteś?

— Urodziłem się w Atenach.

— Dlaczegóż nikt cię tu nie zna?

— Osierocony wcześnie, wychowałem się w Larissie u stryja, skąd po jego śmierci przybyłem tu przed tygodniem.

— Czem się trudnisz?

— Dotąd niczem.

— Z czego żyjesz?

— Za ładowanie statków dostaję dziennie w porcie pół obola.

— Cóż robiłeś w Larissie?

— Wycinałem na pniach drzew i skałach postacie, które za mną chodziły i opłakiwały Fidyasza.

— Znasz Pentelikon?

— Jeszcze go zblizka nie widziałem.

— Bogowie kochają tę górę o łonie marmurowem; jeżeli więc z niej skarżą się na ciebie, musiałeś ich obrazić.

— Ja ich tylko stwarzałem.

— Bluźnisz.

— Obejrzcie pnie drzew w Larissie.

— Bluźnisz, prawdopodobnie tam wyrządziłeś im jakąś zniewagę i uciekłeś przed zemstą. Dostrzegłszy cię tu, domagają się ofiary.

Badanie skończono. Po długiej naradzie sąd wydał wyrok, skazujący Alkamenesa na samotne przebywanie u otwartego wnętrza Pentelikonu, dopóki bogowie wyraźnie swej woli co do winowajcy nie objawią lub go nie zgładzą.

Lud przyjął to orzeczenie z zapałem.

Alkamenes wrócił do domku, w którym przebywał, zabrał woreczek podróżny i udał się na miejsce kary.

Wyszedłszy za miasto, ujrzał niedaleko wysoką górę, do której droga wiła się krętą taśmą śród krzewów i drzew przez grzbiety łagodnych wyżyn i długie wygięcia doliu. Dzień pogasił już jaskrawsze promienie słońca i z jego wielką złotawą tarczą zsuwał się ku zachodowi, rozrzucając blaski po wierzchołkach i krawędziach skał, kiedy Alkamenes stanął u podnóża Pentelikonu.

Legenda mówi, że kiedyś w tem miejscu padł obarczony przez bogów garbem olbrzym, którego ciało ziemia wessała, pozostawiwszy tylko garb, stanowiący marmurową górę. Może więc duch tego nieszczęśliwego męczennika jęczy żałośnie? Alkamenesowi nawet zdawało się przez chwilę, że słyszy jakieś głębokie westchnienia, ale wkrótce sprawdził, że go ogarnia złudzenie. Swawolne wietrzyki wieczoru zlatywały do niego z wyżyn i wrzucały mu do uszu tajemnicze szmery, których on nie rozumiał i ująć w nich słuchem swego imienia nie zdołał. Nareszcie słońce, owinąwszy się w sinawą chmurę, spoczęło na ognistem łożu, a noc zasunęła nad niem swą ciemną zasłonę i dała naturze znak milczenia.

Alkamenes usiadłszy zgnębiony, myślał o dziwnym losie, który go tu zagnał,

gotować na oczekujące go zadanie służenia młodemu i pełnemu sił monarsze.“ Ta krótka odpowiedź wyraziła cały charakter chwili obecnej. Panowanie chorego Fryderyka III zapobiegło zbyt radykalnej zmianie tronu i systemu i posłużyło jako ogniwo, łączące epokę dziada i wnuka.

Zaprzeczenie, z jakiem wystąpiła niedawno *Nordd. Allg. Ztng*, nie posiada zbyt wielkiego znaczenia praktycznego i nie zdoła zapobiedz rozmaitym zmianom, jakie przyniesie nam w tej sprawie najbliższa przyszłość. Kanclerz jest zresztą sam zbyt wytrawnym mężem stanu i gorliwym patryotą, by nie zdawać sobie sprawy, że czasy się zmieniły i że obecny kanclerz nie jest już Bismarkiem lat dawniejszych. Prędzej czy później, będzie się musiał ostatecznie z tą myślą pogodzić, że już nie sam rządzi i nie pozostanie mu zczasem nic innego, jak zadowolić się tego rodzaju legalnym wpływem, jaki wywiera np. Moltke we wszystkich sprawach wojskowych. Tylko co do daty tych niezbędnych reform i zmian znajdujemy się jeszcze w niewiadomości.“

Tak dowodzi *Independance Belge*, a *Nordd. Allg. Ztng* przytacza jej artykuł bez gniewu i odprawy. A więc jakaś prawda leży owinięta w pogłosce. Że ks. Bismark się zestarzał, że obecnie zdolnym już jest tylko do robót drobnych i bardzo bojaźliwych, że cały swój rozum wysila na związywanie sojuszów, że od lat 18 nie wykonał żadnego śmiałego planu, że cały zarząd państwa przykroił do swej własnej osoby, że idzie naprzód siłą ruchu nabytego i ciąży na czynnikach energiczniejszych, rwących się do władzy — to wszystkim wiadomo. 73 lat wieku i kilkadziesiąt pracy ciężkiej, ma swoje znaczenie i wpływ. Nawet geniusz nie jest wyłączonym z pod praw czasu. Nie dziwno też, że monarcha młody, niezdolny do odganiania much z czoła doradcy i słuchania jego zrzędzeń, pragnąłby mieć powiernika z silami świeższemi. Mnóstwo więc przyczyn wysuwa ks. Bismarka z dotychczasowego stanowiska. A on sam? On ma także pewną, bardzo silną pobudkę do zakończenia swej roli. Myślał i myśli o założeniu i utrwaleniu ministeryalnej dynastyi Bismarków, gdyż swego syna Herberta przeprowadził szybko przez rozmaite stopnie i postawił go obok siebie. Gdyby umarł — nie wiadomo, czy los dogodziłby jego życzeniom. Za życia może całym ciężarem swego wpływu przeważyć szalę na stronę syna i usadowić go na swem miejscu.

Oto główne nici hypotezy, że „trzeci“ ze słynnej trójcy, która zjednoczyła Niemcy i w znacznej mierze nadała obecną postać Europie — ustąpi za zmarłym monarchą i znakomitym wodzem. Nie należy jednak przeceniać skutków tego przypuszczenia, gdyby nawet ono okazało się prawdziwem. Jak hr. Moltke na urzędzie przewodniczącego obrony narodowej, tak ks. Bismark na stanowisku prywatnego doradcy wywierałby wpływ na sprawy państwa, zwłaszcza gdyby jego miejsce zajął syn i uczeń. W bliskiej tedy przyszłości o ustaniu tego wpływu nie może być mowy. Bismark żyjący będzie zawsze czynnym.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

W świecie politycznym czuć podmuch jesieni: warsztaty dyplomacyi już puszczono w ruch, a chociaż pokaźnych jej wytworów jeszcze brak, pewne ożywienie już się objawiło. Głównym wypadkiem chwili jest pogłoska o ustąpieniu ks. Bismarka, którą przedstawiamy na innem miejscu. Nie przeszkodziła ona hr. Kalnokemu w dorocznej wędrówce do Mekki kanclerskiej. Widocznie Mahomet nie myśli jeszcze prędko przekazywać swej władzy komu innemu, skoro przyjmuje uczniów i daje im wskazówki. Co usłyszą ściany dworu we Friedrichsruhe i dwie pary uszu — nawet Merkury nie wykradnie i światu nie sprzeda. Ze względu jednak na panującą ciszę, którą rubel obchodzi karnawałowymi podskokami, przypuszczać można, że obradujący z sobą po cichu ministrowie nic ważnego nie uknują i pomimo swych sił coś do roboty pozostawią „naturalnemu rozwojowi wypadków.“

Załatwiono wreszcie ciężką pracę pogodzenia odwiedzin cesarza niemieckiego u króla Humberta i papieża. Ułożono ceremoniał prawdziwie akrobatyczny, polegający na niezmiernie subtelnem równoważeniu obustronnych wymagań etykiety. Wilhelm II będzie musiał przejść po cieniutkim włosie, nie przechylając się zbytnio ani ku Watykanowi, ani ku Kwirynałowi. Za wypracowanie prawideł tej sztuki p. Crispi otrzymał wysoki order z tytułem „kuzyna królewskiego.“

Biskup chorwacki Strossmayer, który jej nie znał, został skarcony przez monarchę austryackiego za pozdrowienie wysłane do Kijowa podczas obchodu pamiątki chrztu Rusi, a nawet ma być podobno wyparty ze swego dotychczasowego stanowiska. Mocne wpływy oddziałać musiały na cesarza Franciszka, kiedy on posunął się do tego kroku i osobiście wyraził swą niełaskę biskupowi, którego dawniej lubił i szanował. Wpływy te niewątpliwie mają swe źródło w rządzie węgierskim, który nienawidzi Strossmayera za potężną i skuteczną obronę chorwatów przeciw drapieżności madziarskiej i którym łatwiej poradziłby sobie z całym narodem, niż z tym jednym człowiekiem. Węgrzy wyzyskują teraz dogodną sposobność i uderzają przeciwnika majestatem monarszym.

W odpowiedzi młodoczechom staroczesi na swym wiecu powtórzyli tylko dawne skargi i żądania, zaostrzywszy je nieco dla wyrównania się ze współzawodnikami. I oni wspomnieli o prawach państwowych swego narodu, czem zmarszczyli czoło opiekunów w Wiedniu. Ta chmurka odbiła się szybko na stronicach urzędowego *Fremdenblattu*, który dał Riegerowi i jego towarzyszom mierny stopień ze sprawowania się. Ale młodoczesi zwołali nowy wiec, na którym pospieszcie zatrą wrażenie, wywołane potępieniami i żalami starych, tak, że ostatni mniej ruchliwi i mniej energiczni czują się w gonitwie patryotycznej bardzo prześcignięci.

„Boimy się greków nawet dary niosących.“ Obawę tę i podejrzliwość objawiają

---

o całem życiu swojem biednem, tułaczem, zabijającem ciągle odradzające się pragnienia, których ani zadowolić, ani zdławić nie mógł.

— Cóż ja bogom zawiniłem — mówił do siebie — że w piersi mojej rozdmuchują żar, który mnie przepala? Po co każą orłom pełzać, a żółwiom przyprawiają skrzydła? Czy wszechmoc ich potrzebuje się nasycać tak okrutną igraszką? Będę leżącym na dnie morza mięczakiem, będę jadowitą żmiją, pracującym wołem, będę najpodlejszym człowiekiem, tylko niech mi z duszy wydrą niezukojone chęci, niepokonane marzenia i drzemiące w niej siły, które mnie porywają w krainę czynów wysoko wzniesioną nad poziomem mojej niedoli. Nędza nie chce mnie pożreć odrazu, tylko powoli objada. Pracą w mizernym najmie zarabiam na przedłużenie życia, które się pastwi nade mną. I czego ja jeszcze oczekuję? Czy te drzewa otrzęsą mi litościwie ze swych gałęzi na pokarm kilka oliwek, a ta góra odłamie kawał marmuru, ażebym weń wcielił jedną z tych mar, które licznym rojem koło mojej głowy krążą? Oderwany i gnany wichrem liść daremnie wtykam się w ziemię, ażeby w nią wrosnąć—schnę i pędzę dalej. A może mnie tylko nawiedzają widma myśli chorej, może ja nie posiadam tej mocy, która moją wyobraźnię dreszczami geniuszu wstrząsa? Ach, odstąpcie mnie dręczące natchnienia, których ciałami przyoblec nie mogę, stocz się po stromej skale twardy głazie i roztrzaskaj tę wrzącą czaszkę.

Oparł twarz na dłoniach bólami porytą.

— Głupcy — rzekł półgłosem— Pentelikon mnie woła! Czemuż milczy, gdy do niego przyszedłem?

W tej chwili nastąpiło zjawisko dziwne: góra drgnęła kilkakrotnie i wydała głębokie westchnienie. Przez otwarty jej bok, którym wydobywano marmur, zaczęły nieprzerwanym szeregiem wysuwać się najrozmaitsze śnieżno białe postacie. Naprzód wszelkich gatunków zwierzęta, małe i wielkie, gładkie i wełniste, łagodne i drapieżne, które otoczywszy kręgiem Alkamenesa, zabrzmiały:

— Bądź pozdrowiony stworzycielu i zbawco, który wskrzesisz nas i wyprowadzisz z grobu, gdzie od wieków spoczywamy!

Tym samym porządkiem powróciły zwolna do wnętrza góry.

Znowu ona drgnęła i znowu z jej otworu wyszły długim łańcuchem postacie ludzkie: mężczyzni, kobiety, dzieci, starcy, nadzy i odziani, w nieprzeliczonych odmianach piękna i brzydoty, wzrostu i budowy. Opasały one również Alkamenesa i zawołały chórem:

— Bądź pozdrowiony stworzycielu i zbawco, który wskrzesisz nas i wyprowadzisz z grobu, gdzie od wieków spoczywamy!

Pierścień widm rozłamał się i wyprostowaną kolumną wsunął w grotę góry.

Jeszcze raz zadrgała i wystąpił z niej orszak olbrzymów, bogów i bogiń, uderzających nadziemską siłą i czarujących wdziękami. Obstąpiwszy Alkamenesa, zagrzmieli:

— Bądź pozdrowiony stworzycielu i zbawco, który wskrzesisz nas i wyprowadzisz z grobu, gdzie od wieków spoczywamy!

Kiedy orszak ten powracał do góry, która teraz, jak i poprzednio, wydawała się wydrążoną, pustą wewnątrz, popękaną z wierzchu i przeświecającą przez szpary łupiną, ostatnia z postaci zatrzymała dłużej na Alkamenesie smutny swój wzrok i zniknęła.

Czy widzenie to przesunęło się przed nim we śnie, czy na jawie, nie wiedział; musiało ono jednak trwać długo, bo gdy się skończyło, na bladą i bezprzytomną twarz Alkamenesa padły pierwsze promienie wschodzącego słońca.

Stał on nieruchomy, z oczami utkwionemi w otwartą ścianę Pentelikonu i piersią wzruszeniem nabrzmiałą, sprzęgając rozpierzchłe myśli i usiłując zapanować nad niemi. Nareszcie chwiejnym krokiem przystąpił do bryły marmuru, przy której odwróciła się ku niemu smutna postać, coś przypominał sobie, czy szukał śladów. Nie było żadnych, ale jak gdyby uczuł w kamieniu słabe tętno życia.

— Ona tu jest — szepnął, a wyjąwszy z woreczka dłuto i młotek, gorączkowo kuć zaczął.

Zdawało mu się, że bryła ta nie jest kamieniem, ale zwojem osłon, które okrywają postać boskiej niewiasty, w marzeniu przezeń widzianą i z których on ją rozwija.

narody obecnie względem Niemiec. Gdy więc rząd niemiecki okazał gotowość poparcia wyprawy mającej oswobodzić osaczonego w Afryce Emina baszę, podróżnika europejskiego, natychmiast puszczono domysły na zwiady, co pod tą wspaniałomyślnością się przyczaiło. I odkryto, że Niemcy chcą wewnątrz Afryki zdobyć sobie kawał gruntu i sparaliżować roboty anglików, dla których ma pracować w ukryciu Stanley. Polityka kolonialna, chęć przelania się za morze jest istotnie ulubioną myślą ks. Bismarka i być może, iż odsłonięto jego tajemnicze zamiary.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY Z NAD BALTYKU.

V.

Działalność Katolickiego Towarzystwa dobroczynności. — Ryskie Towarzystwo. — Ofiary i obowiązki. — Pomysłowy komitet. — Obecni i nieobecni.— Towarzystwo mitawskie. — Auszra.—Niesłuszny zarzut. — Ujemne strony obcowania z „państwem." — Skład towarzystwa polskiego. — Pisma.

Życie społeczne towarzystwa polskiego w Rydze, szczupłe ma nader pole dla swego rozwoju. To też szerokie koryto czynów obywatelskich zwęża się tu niepomiernie a za ujście służy mu zwykle: „Katolickie Towarzystwo dobroczynności." Przed 10 laty powstało ono, korzystając z chwilowego zapału dla nowości, zdołało *zapisać* na swej liście 600 członków, z zadeklarowaną sumą 4 tys. rs. składek. A już w r. 1885 liczba członków wynosiła 293 osób, składki około 2 tys. rs., w r. 1886—288 członków, w ubiegłym zaś—291 członków a składki wyniosły 1,567 rs. Tak mały udział przeszło 10,000 mieszk. polaków wytłomaczyć trudno brakiem środków, bo płaca jest niewielką (od 15 k. miesięcznie); ani niepopularnością celu, który, zresztą, wszyscy, bez różnicy przekonań i wyznania, uznają; ani wreszcie, niedbalstwem komitetu zarządzającego. Poprostu nie stać nas na rzetelne wywiązywanie się z zobowiązań przyjętych; gotowiśmy jednorazowo nawet znaczniejsze ponosić *ofiary*, aby tylko stale i regularnie nie spełniać nudnych *obowiązków*. To też komitet, wobec wielkich potrzeb ubogiej ludności, której budżet, około 9,000 rs. wynoszący, zaledwie może podołać, na różne zdobywa się pomysły, byle dziury załatać. Mamy więc bazar z loteryą, teatr amatorski, bal „katolicki," koncerty itp. pośrednie pompki, wydrwigroszowe rozrywki. Tutaj właśnie ci stają do apelu, których kiedyindziej brak. A ile przytem wysiłku, straty czasu i pieniędzy, które pokrywają koszty „dobroczynnych" strojów, „dobroczynnych" zabaw itp.! Śmiało rzec można, że tą drogą zaledwie dziesiąty rubel trafia celu, tj., dostaje się ubogim. „Nieobecni" członkowie, jak w swoim czasie wykazywało sprawozdanie, mieszczą się w liczbie urzędników, kapitalistów, obywateli ziemskich itp. Natomiast wśród młodzieży, rzemieślników, nawet robotników fabrycznych i służby rekrutują się „obecni," czynni członkowie. Komitet rzuca się na takie ciekawe pomysły: wydobyć biernych osobiście, zachęcając do brania udziału; naturalnie krok taki wywołuje pożądany skutek. „Sam przyjechał, wstyd mu odmówić, a nuż jeszcze pomyśli, że córki wyprawy i posagu mieć nie będą, uchowaj Boże!" — zdają się rozumować i płacą. Dobrze zasłużonym prezesem Towarzystwa jest p. L. Mikulicz-Radecki. Towarzystwo dobroczynności utrzymuje ochronkę dla dziewcząt, przytułek dzienny, szkółkę parafialną dla chłopców i dziewcząt, oraz od roku jeszcze jedną, na przedmieściu mitawskiem, zamieszkałem przez ludność wyrobniczą; nadto oczewiście udziela wsparcia ubogim itd. Drugie podobne stowarzyszenie boryka się z trudnym losem w Mitawie. Liczyło ono w r. 1887 zysków 690 rs. wobec 1,283 rs. w r. 1886 i 104 członków wobec 148. Tam głównie zmniejszenie majętniejszej ludności powoduje upadek. Prezesem jest zacny, czynny obywatel inżenier p. Krzyżanowski. Istnieje tu jeszcze stowarzyszenie śpiewaków p. n. „Auszra," składające się z drobnych urzędników i rzemieślników. Powstanie swoje przed kilku laty pożyteczna ta instytucya zawdzięcza młodzieży politechnicznej. Później wieść zaczęła żywot samoistny, który jednak niedawno zdradził cechy upadku Auszry pierwotnej, spowodowane obniżeniem zadań Towarzystwa i przymieszką żywiołów niepożądanych. Szczęściem ostatnio, zbogacony nowemi siłami, zarząd chwasty wyplenił. Spotykaliśmy w prasie wymówki czynione inteligencyi i t. zw. „towarzystwu," że w przedsięwzięciach Auszry czynnego udziału nie biorą. Jest to zarzut niesłuszny. Skromna biblioteka i czytelnia, zebrania ubarwione szlachetniejszemi rozrywkami (śpiewem, teatrem, muzyką, deklamacyą itp.) są to główne źródła pożytku Towarzystwa; dają one strawę umysłowi, wytwarzają pewne życie zbiorowe, wreszcie umożliwiają zawierania odpowiednich znajomości, usuwając główny środek groźnej tutaj germanizacyi i łotyszenia. Tymczasem liczniejszy udział w zabawach inteligencyi przeszkadza, jak to w praktyce się okazało, prawidłowemu rozwojowi powyższych stosunków. „Państwo" potrzebuje miejsca i dlatego odsuwa w kąty właściwych gospodarzy; „państwo" się nie żeni, a bałamuceniem, wyrządza szkodliwe „współzawodnictwo" dla rzemieślnika, który ani tak pięknie odziać się, ani tak ładnie mówić, ani tak „szykownie" tańczyć nie potrafi... Wogóle jesteśmy skłonni zrobić Auszry zarzut, że właśnie zbyt małem uczestnictwem klasy wyrobniczej się cieszy, że wytwarza pośród siebie osobną „arystokracyę partykularzową, która się panoszy i zamiast dbać o rozwój stowarzyszenia na zasadzie jego założeń, troszczy się o nadanie mu „dobrego tonu." Towarzystwo polskie w Rydze stanowi dość liczne domy ludzi zamożniejszych, przybywających tutaj dla kształcenia dziatwy w niewątpliwie najlepszych, jak dotychczas, szkołach tutejszych lub też dla pędzenia życia skromniej, aniżeli w innych wielkich miastach. Znaczny zastęp urzędników i studentów, niewielka liczba rzemieślników, oraz wzrastający zastęp wyrobników uzupełniają całość naszego tutejszego społeczeństwa. Los ostatniej kategoryi przybyszów pono nieszczególny. Jest to zresztą zrozumiałem: przedsiębiorczy niemiec jeno dla wyzysku cudzoziemca do fabryk swych przyjmuje.

Pism polskich otrzymujemy niewiele. Prócz stowarzyszeń studenckich, które w czytelniach swoich prawie wszystkie ważniejsze wydawnictwa posiadają, w największej liczbie wślizguje się tutaj pędzone „Ogniem i mieczem," parte „Potopem," ciągnione przez „Wołodyjowskiego" arystokratyczne *Słowo*, oraz „wielostronny" petersburski *Kraj*.

A. R.

Osłony te pod jego dłutem opadały szybko; ale w miarę jak oderwawszy zwierzchnie i grubsze, zbliżał się do spodnich cieńszych, ręce jego pracowały coraz delikatniej i ostrożniej.

Ponieważ roboty w kopalni zawieszono i pod groźbą gniewu bogów zakazano komukolwiek chodzić do góry, przy której spełniała się dla nich ofiara, więc nikt mu nie przeszkadzał i zdroju natchnień nie mącił.

Skoro noc owionęła ziemię mrokiem, omdlały Alkamenes złożył głowę na rzeźbionym marmurze i zasnął. Wtedy objawiła mu się znowu owa cudowna postać, ale już sama. Stanęła tuż przy nim i dźwiękiem rzewnej pieśni przemówiła:

— Jestem Psyche, dusza dusz. Umiłował mnie Eros, ale rozkochaną opuścił, gdy spojrzałam w jego twarz, którą w miłości naszej niewidzialną mieć pragnął. Tęsknię do niego w nadziei, że wróci.

Rozwiała się w powietrzu.

Jednocześnie sen odjął swe dłonie z powiek Alkamenesa, który obudził się, przez chwilę pogonił myślą urocze widmo i otrzeźwiony z zapałem przystąpił do pracy.

Trwała ona dni wiele, a każdy coraz szczegółowiej ukazywał kształty boskiej niewiasty, spowitej w płatki marmurowe. Nareszcie pozostała już tylko cieniutka powłoczka, niby przejrzysta mgła, pod którą Alkamenes widział już wyraźnie całą postać i czuł ruchy jej życia. Lekkiemi, jak pierwsze pocałunki miłości, muśnięciami dłuta zgarnął on ten obłoczek a skoro zsunął ostatni jego rąbek, stanęła przed artystą olśniewająco biała, niepokalanie czysta, odurzająco piękna Psyche. Wdzięczną główkę, z włosami gładko przyczesanymi i zwiniętymi w splot swobodny pochyliła nieco ku piersiom; spuszczone oczy otaczały jej nagość szatą dziewiczego wstydu, a z drobnych ust łagodny smutek wypijał ostatnie krople uśmiechu. Jedną stopkę podniosła nieco od ziemi, jak gdyby chciała wzlecieć na skrzydełkach motylich, które jej z ramion wyrastały, a w ręczce trzymała kwiatek, pamiątkę miłości.

Alkamenes zatonął w jej uroku, a Pentelikon, z którego ją wywiódł, zabrzmiał potężnym głosem zachwytu.

Pomimo zakazu władz, młody pasterz, który przegnał owce na sąsiednią górę, posyłał często swe bystre oczy do samotnego skazańca. Widział on go zdala pochylonego nad kamieniem, ale niczego więcej rozpoznać nie mógł. W dniu wszakże narodzin Psychy przybiegł wystraszony do Aten i opowiedział zgromadzeniu, które go natychmiast obległo, że wyszła z Pentelikonu i stanęła przed Alkamenesem jakaś przepiękna bogini. Kapłani osądzili, że zapewnie ona oznajmiła pokutnikowi wolę nieba i że należy go już sprowadzić.

Wszyscy mieszkańcy pod przewodnictwem dostojników wpłynęli długim i szerokim potokiem w wąwóz, wiodący do Pentelikonu. Przybywszy pod górę, zatrzymali się w zdumieniu, jak gdyby na ich oczy padł czar cudu: na posłaniu ze śnieżno-białych okrzesków marmuru, skąpana w blaskach słońca, oglądającego ją szeroko rozwartą źrenicą, stała Psyche a przed nią klęczał Alkamenes.

Z wielką uroczystością przeniesiono posąg do Aten i umieszczono go na Akropolu.

Nazajutrz stróż świątyni upewniał, że w nocy słyszał przez ścianę jakieś czułe szepty, co kapłani wyjaśnili tem, że prawdopodobnie Eros odwiedził i wypieścił swą oblubienicę. Rzeczywiście, z jej ust jakgdyby ulotnił się smutek.

Odtąd nie odzywały się już strachy w Pentelikonie. Alkamenes przybywał przy nim często i wyprowadzał zeń do Aten coraz nowe postacie, ale zanim każdą wydobył z osłon marmurowych, szedł na modlitwę do Psychy, przez którą objawił się jego geniusz i która udzielała mu natchnień.

* * *

— Taki koniec bajki—rzekł opowiadacz, całując przytuloną do jego piersi słuchaczkę w rozmarzone oczy. Uśnij, a potem opowiem ci inną.

W. Okoński.

WYKSZTAŁCENIE ZAWODOWE.

II.

Braki w dotychczasowym systemie wykształcenia zawodowego zwróciły wreszcie uwagę tych nielicznych profesorów, którzy cokolwiek lepiej znają warunki produkcyi przemysłowej.

Kiedy porzuciłem praktykę fabryczną dla nauczania, starałem się zdobyte doświadczeniem wiadomości zużytkować — powiedział prof. Zulkowski na odczycie mianym przy końcu r. z. w Pradze. Ja, a zapewne i wielu moich towarzyszy niedoli nauczycielskiej spostrzegliśmy w praktyce przemysłowej, że szkoły właśnie w przedmiotach zawodowych dostarczają często niedostatecznego wykształcenia; nie tyle jest to jednak winą profesorów, ile błędnej organizacyi całego nauczania, innemi słowy: uczą jednego zanadto, drugiego — za mało.

Nie trzeba zapominać, że szkoły zawodowe mają dostarczać najwyższego wykształcenia teoretycznego i praktycznego. Gdyby ograniczyły się tylko na naukowem, straciłyby w takim razie wszelką racyę bytu, bo do tego każde państwo posiada uniwersytety; im przypada w udziale zadanie dbać o rozszerzenie i przechowywanie wiedzy. Jedynie praktyczne obeznanie się z zawodem jest w obecnym czasie niemożliwem, gdyż należyte wykonywanie zajęć fachowych wymaga znacznego zasobu wiadomości matematyczno-przyrodniczych.

Technologia nie jest nauką samodzielną, na osobnych podstawach opartą, wcale nawet nie jest nauką, lecz tylko zastosowaniem chemii, fizyki i nauki o machinach do przerobu różnych materyałów. Zależnie od wytworu powstają różne, najzupełniej odrębne a nadzwyczaj liczne gałęzie przemysłu, np. cukrownictwo, piwowarstwo, farbiarstwo, hutnictwo itp., z których każda rozwijała się prawie zupełnie samodzielnie, m. własną historyę i pokaźną literaturę. Zawisłość między pojedynczemi gałęziami przemysłu jest bardzo mała, tak, że znajomość jednych prawie nie ma żadnego znaczenia przy kierowaniu procesami w innych. A ponieważ liczba ich jest tak wielką i nie posiadają one między sobą żadnego genetycznego związku, nie może więc nikt wyczerpująco nauczać, ani nawet znać całego obszaru technologii. Pod nazwą technologii chemicznej wykładają zwykle tylko wybrane ustępy z całości; wybór zaś zależy mniej lub więcej od warunków miejscowych. Ponieważ właściwe studya zawodowe trwają dwa lata, można uczącemu się tylko tyle wiadomości dostarczyć, ile on w tym czasie posiąść zdoła. Całość przedstawia rodzaj encyklopedyi; jest to ani pies, ani baran, i zanadto i zamało. W najlepszym razie student pozyskuje pewien pogląd na obszerne pole gospodarstwa społecznego i nic więcej. Istnieją wprawdzie tacy, którzy podobną powierzchowną wiedzę, nazywaną czasami półwiedzą, uważają za wystarczającą, w mniemaniu, że braki uzupełni praktyka. Gdyby podobne zapatrywanie było słusznem, należałoby teraźniejsze wykłady technologii chemicznej zupełnie znieść, bo ta drobnostka w praktyce wiele korzyści nie przyniesie. Tak jednak nie jest. Nie wszystkie fabryki są wzorowo urządzone, wiele z nich potrzebuje zczasem rozszerzenia lub uzupełnienia, czasami znowu okazuje się potrzeba przejść do wytwarzania innych przedmiotów, a wtedy braki w wykształceniu szkolnem dają się uczuć mocno. Kontrola jest w wielu fabrykach bardzo niedostateczną, nie ma nikogo, ktoby znał przyrządy i sposoby dozoru. Od kogo się wtedy nauczyć dobrego prowadzenia roboty?

Przed 15 laty naprzykład mikroskopu nie znano w browarach i gorzelniach (a ilu piwowarów i gorzelanych zna go u nas obecnie?). Dziś przemysł fermentacyjny nie może się bez niego obejść: kierownik takich zakładów powinien być dobrze obeznany z bakteryologią, musi obserwować drożdże w różnych okresach ich rozwoju, zapobiegać wszystkiemu, coby na ten rozwój ujemnie wpłynąć mogło, dbać o utrzymanie produktów w najlepszym gatunku. Słowem, szkoła powinna przygotowywać nietylko ogólnie, lecz także zaopatrywać w wiadomości szczegółowe, potrzebne technologowi w jego zawodzie, albowiem zbyt często bywa on pozostawiony sam sobie.

Powiadają, że teoretycznie wykształcony zawsze potrafi sobie poradzić; lecz kto badał dzieje różnych gałęzi przemysłu, musiał się nieraz dziwić, jakich środków, czasu i pracy wymagało teoretyczne wyświetlenie doświadczeniem zdobytych wiadomości. Praktyka zbyt często wyprzedza o wiele teoryę i byłoby wielkim błędem lekceważyć nabytki empiryczne.

Czy nie mogłaby jednak praktyka we wzorowo-urządzonych fabrykach tym brakom zaradzić? Przed niedawnym czasem i u nas tę sprawę poruszono, a nawet Towarzystwo popierania przemysłu i handlu ofiarowało swe pośrednictwo przy umieszczaniu praktykantów. Zobaczmy, jakie korzyści podobna praktyka za granicą przynosi.

Podczas zeszłorocznego zjazdu przyrodników i lekarzy niemieckich, zarząd fabryki barwników Luciusa, Meistera i Brüninga w Höchście zaprosił członków do obejrzenia zakładu. Dr. Wislicenus, który zwiedzał fabrykę na czele chemików, wyraził się wtedy, że nowych szczegółów tam się dowiedzieć nie można, albowiem wszystko, co pokazują, jest dawno wiadomem, rzeczy nowych zaś wcale nie widać. Znany technolog prof. Wagner prosił niegdyś spółwłaściciela tejże fabryki Brüninga, aby mu ją pokazał; Brüning wykonał też to dosłownie, zaprowadził go na najwyższą wieżę wodociągu, skąd można było całą fabrykę obejrzeć. Po takiem przyjęciu nie pozostawało Wagnerowi nic innego, jak wrócić do Würzburga.

Jeżeli nawet osoby, cieszące się takim rozgłosem, fabrykanci zbywają żartami, aby tylko swe tajemnice zachować, jak muszą oni obchodzić się ze zwykłymi śmiertelnikami? Względem nich nie potrzebują się nawet do takich wybiegów uciekać. Pomieszczenia laboratoryjne są ściśle od samych zakładów przeróbczych oddzielone; w pierwszych mają pracownicy zupełną swobodę, od drugich wara! Tyczy się to nietylko osób obcych, lecz nawet samych urzędników fabryki. Zdarza się, że chemicy po kilkoletniej robocie w pracowni fabrycznej nie mają pojęcia o urządzeniu samej fabryki; nieświadomi tego stanu rzeczy zapraszają takich panów na kierowników do innych zakładów, ufając ich doświadczeniu — i tu dopiero rozpoczyna się nauka golenia na cudzej brodzie.

Wcale nie należy się nawet dziwić takiemu postępowaniu przemysłowców, albowiem dlaczego mają pierwszego lepszego wtajemniczać w to, co stanowi często owoc wielkich zachodów i długoletniej pracy? Owszem, zdaje mi się, że należałoby raczej z uznaniem przyjąć szczerość, z jaką jeden odpowiedział zarządowi Towarzystwa popierania przemysłu i handlu na odnośne pytanie, że przyjmuje na praktykę tylko osoby mu znane.

Wszystko to prowadzi do wniosku, że należytego wykształcenia zawodowego szkolnego nic zastąpić nie zdoła. Widzimy też, iż w krajach, gdzie dotąd kształcenie praktyczne przeważało, np. w Anglii, ostatnimi czasy rozwinięto nadzwyczaj silną agitacyę za urządzeniem wyższych szkół zawodowych. W zeszłym roku deputacya wpływowych polityków i uczonych, pomiędzy którymi byli Huxley, Playfair, Ramsay, Roscoe, Tilden prosiła o zapomogę państwową dla tych instytucyj. John Lubbock, dowodząc przy tej sposobności koniecznej potrzeby wykształcenia technicznego, zakończył swe przemówienie temi słowami: „Nasze nieuctwo kosztuje nas więcej, niż wydajemy na wychowanie naszej młodzieży.“ Wreszcie od roku zeszłego funkcyonuje tam pod przewodnictwem lorda Hartingtona „National Association for Promoting Technical Education.“

Z drugiej strony jednak jest niemniej jasnem, że teraźniejsze uczelnie wymagają gruntownego przekształcenia; dostarczają one nam technologów, których mamy zanadto, natomiast brak nam wykwalifikowanych cukrowarów, gorzelników, farbiarzów, tkaczów, młynarzów itd.

Zwłaszcza odnośnie wykształcenia chemików, jeden człowiek nie wystarcza do wykładu tak różnorodnych przedmiotów, jakie pod nazwą technologii chemicznej są znane, albowiem na szczegółowe traktowanie ich brak mu i czasu, i osobistego doświadczenia, i wiedzy. Nawet nie należy wymagać, aby każdy student dokładnie zbadał wszystkie możliwe działy produkcyi chemicznej; nie podoła on w takim razie zadaniu. Lecz to mu też wcale potrzebnem nie jest, ponieważ on w następstwie tylko jednemu zawodowi się poświęci, mógłby więc tylko małą część nabytej wiedzy zużytkować. Nie znaczy to, aby każdy technolog miał się zagrzebać wyłącznie w wiadomościach jednego zawodu dotyczących; musi on także mieć pojęcie i o innych gałęziach produkcyi, szczególnie o działach jego specyalności pokrewnych, aby mógł korzystać z postępów dokonanych w tych dziedzinach, umiał przystosować nowe zdobycze dla własnych celów; lecz tu wiedza może być więcej powierzchowną, encyklopedyczną, nie potrzebuje już takiej dokładności. Przez wprowadzenie osobnego wykładu poszczególnych gałęzi przemysłu stanie się nauczyciel badaczem i doradcą w swoim fachu, jego katedra — stacyą doświadczalną, gdy obecnie nauczyciel technologii działa tylko jako pedagog. Zagłębienie się w osobne działy było niemożebnem lub bardzo utrudnionem, wskutek bowiem nadmiernego obszaru literatury przedmiotu musiał spotrzebowywać cały swój czas do nauczania i dalszego kształcenia siebie samego.

Twierdzą, iż większe rozspecyalizowanie przeszkadzałoby wyborowi zawodu. Prof. Zulkowski odpowiada na ten zarzut, że wielu stanom nie lepiej się dzieje. Gimnazista przed rozpoczęciem swych studyów musi zdecydować się, czy chce zostać prawnikiem, lekarzem, pedagogiem lub technologiem i rolnikiem. Wreszcie wszędzie widzimy dążność do dalszej specyalizacyi; za przykład mogą służyć lekarze, a taka specyalizacya, jak dotychczas, raczej ułatwia, niż utrudnia im późniejszą walkę o zapewnienie bytu.

Gdzie jednak nabyć obecnie takiego wykształcenia, o jakiem tu mówię? Wprawdzie kwestya reformy szkół jest, jak to wyżej zaznaczyłem, na porządku dziennym za granicą, lecz, gdyby młodzież nasza chciała na jej załatwienie czekać, mogłaby tylko rychło odczuć na sobie, jak często rosa oczy wyjada, zanim słońce wejdzie.

Istnieje za granicą, a szczególnie w Niemczech znaczna ilość zakładów, poświęconych kształceniu wyłącznie w jednym zawodzie; mają one ten tylko niedostatek, że nie dają dostatecznej wiedzy ogólnej matematyczno-przyrodniczej, która jest bezwarunkowo potrzebną do świadomego kierowania jakąkolwiek fabrykacyą. Pozostaje więc tylko droga pośrednia — udawać się do takich szkół specyalnych dopiero po przesłuchaniu kursu nauk w wyższym zakładzie technicznym ogólnym.

Niektórzy zamożniejsi chemicy po ukończeniu studyów w szkołach technicznych przesiadują jeszcze przez pewien czas przy uniwersytetach, aby tam uzyskać święce-

nie na doktora filozofii; nie wiem, czy ich nęci ta nauka wszech nauk, czy też łechce tylko próżność posiadania tytułu; lecz przemysłowcy dość sceptycznie zapatrują się na te dążenia. „Wasza filozofia — powiadają oni — nie zwiększy wydatku spirytusu z kartofli, ani oczyści nafty od wodorowych przymieszek, a nawet nie ubezpieczy robotnika od wybuchu kotła parowego lub trujących wyziewów fosforu," a gdy uwzględnimy, w jakich warunkach obecnie odbywają się doktoryzacye przy uniwersytetach niemieckich, nie można nawet tym zapatrywaniom odmówić pewnej słuszności. Najlepiej scharakteryzował to Krause, redaktor jednego z najpoczytniejszych pism fachowych. „Uzyskanie tytułu doktora — powiada on — wymaga między innemi napisania rozprawy. Chociaż ona dotyczy zwykle przedmiotu naukowo nowego lub niedostatecznie zbadanego, przyczynia się jednak mało do zwiększenia wiadomości zawodowych. Najczęściej przytem nie bywa owocem własnej pracy umysłowej; zwykle profesor obmyśla temat, który często opracowywa się według jego szczegółowych wskazówek i przy jego osobistym współudziale. Wypracowanie to wymaga dość czasu i kosztów a wskutek tego staje na przeszkodzie dokładnemu zaznajomieniu się studenta z innymi dla jego zawodu ważniejszymi działami wiedzy." Czyż wobec tego nie byłoby korzystniej ten czas i te koszta poświęcać na studya zawodowe?

Większość naszej młodzieży jednak nie należy do owych wybrańców losu, co czasem i funduszami dowolnie rozporządzać mogą. Większość ta wyczekuje z niecierpliwością kresu swego męczeńskiego studyowania o suchym chlebie. Cóż poczną ci? Dla nich przedłużenie nauki staje się częstokroć niemożliwem; niektórzy muszą myśleć nietylko o własnej skórze, lecz także o zapewnieniu bytu rodzicom i krewnym.

W innych krajach istnieją stypendya, przeznaczone wyłącznie dla kształcenia młodzieży w pewnych zawodach. Stypendya takie są nietylko pomostami, ułatwiającymi niezamożnej młodzieży wybrnięcie z trudnego położenia. Przez odpowiednie udzielanie tych zapomóg można młodzież kierować zawsze ku tym zawodom, gdzie najbardziej uczuwać się daje brak wykształconych pracowników. Nawet Galicya, ów kozioł ofiarny naszych dowcipnisiów dziennikarskich, nawet ta Galicya, której nędzę osobne epopeje opiewają, zdobywa się od czasu do czasu na pewną ofiarę gwoli przysporzenia sobie fachowców. Zdarza się przytem wprawdzie, że stypendysta wydziału krajowego musi sobie następnie po za krajem chleb zdobywać, albowiem kształcił się w kierunku, który w Galicyi zastosowania nie ma. To jednak są tylko skutki szczególnie przezornej gospodarki.

My nie posiadamy funduszów, któreby w oznaczonym celu dały się zużytkować. Istnieją wprawdzie zacni, a może tylko rozumni fabrykanci, którzy własnym kosztem wysyłają czasami wykształconych techników dla dalszych studyów za granicą. Liczba takich wyjątków jest niestety bardzo szczupłą, żądnych wiedzy i chleba zaś mamy bardzo dużo.

Znam wprawdzie pewną instytucyę, która się tytułuje Oddziałem Towarzystwa popierania przemysłu i handlu. Dotychczas interesowała się ona jednak więcej rzeczami, niż ludźmi, a z ludzi tylko „możni" uwagę jej ściągali; „mrówki" i „robaczki," których praca uprawia glebę do przyszłych zasiewów i przyczynia się do zwiększenia planów uchodziły dotychczas zupełnie jej wzroku. Nasuwa się pytanie: czy nie byłoby trwalszym fundamentem krajowego przemysłu zaszczepienie wiedzy technicznej, niż obwarowanie się wałem ochronnym ceł protekcyjnych i czy nie przyniosłoby większych korzyści zasianie świeżego i zdrowego ziarna umiejętności, niż przedwczesne wystawianie niezawsze dojrzałych owoców?

Opiekunowie naszego przemysłu nie mają czasu zastanawiać się nad artykułami dziennikarskimi; w chwilach wolnych od pracy nad „dobrem kraju" zwykli oni rozmyślać nad polityką Bismarka i losami Boulangera. Jest więc nadzieja, że i moje słowa przebrzmią, wywoławszy taki skutek, jaki powoduje „groch na ścianę" rzucany.

SPRAWY EKONOMICZNE.

A. Zakrzewski: *Przemysł włościański. Teorya kwestyi, jej stan i widoki u nas.*

P. Z. należy w naszej publicystyce do zaciętszych wrogów t. z. kapitalizmu, t. j. produkcyi opartej na najmictwie. Atoli w krytyce swojej zajął on szczególne stanowisko. Występuje przedewszystkiem jako rzecznik interesów drobnej własności i drobnej produkcyi, z tego punktu ocenia zjawiska i sprawy ekonomiczno-społeczne. Jego życzeniem — rozpłynięcie się wielkiej produkcyi i wielkiej własności w drobnych, gdzie narzędzia pracy i wytwór znajdowałyby się w bezpośrednim władaniu producenta, czyli t. z. dekapitalizacya przemysłu. Widząc, iż drobna produkcya przeważa jeszcze w gospodarstwie narodowem większości państw, czyniąc tu i owdzie próby współzawodniczenia z wielką za pośrednictwem małych motorów, p. Z. wnioskuje, iż ona nietylko istnieć może przez czas dłuższy, lecz że na stałe oprzeć się jest zdolną współzawodnictwu ze strony przemysłu wielkiego. W zastosowaniu do naszego kraju, zdaje się, iż cały ten przemysł jest jedynie „sztuczną" naleciałością, która zaniknęłaby, skoro uczynionoby zadość różnym „gdyby." Stanowisko to zarysowało się mniej więcej jasno w obecnie wydanej broszurze *Przemysł włościański*. Autor wychodzi z faktu, iż dobrobyt naszego włościaństwa silnie podupadł od pewnego czasu. Dowody tego stanu rzeczy spostrzega we wzrastającym śród chłopstwa ruchu emigracyjnym do Ameryki, w zmniejszeniu dążności parcelacyjnych, wreszcie — w wzmagającej się licytacyi gospodarstw włościańskich. Wobec tego poszukuje środków ratunku dla ocalenia włościan od ekonomicznej ruiny. Znajduje je w wyhodowaniu tak rozwiniętego w niektórych okolicach Cesarstwa przemysłu „kustarnego." Istota tej produkcyi polega na tem, iż rodzina włościańska, obok uprawy roli, zajmuje się jeszcze jakiemś rzemiosłem pobocznem, wyrabiając w chwilach wolnych od zajęć (np. w czasie zimowym) przedmioty rękodzielnicze na sprzedaż. Otrzymuje w ten sposób pewne dodatkowe zarobki, które naturalnie przynoszą znaczną ulgę w budżecie domowym. Broszurka p. Z. jest właśnie poświęcona udowodnieniu, że chłop polski posiada wszystkie zdolności po temu, aby stać się zręcznym „kustarem," oraz zbadaniu istniejących, a samorodnie wyrosłych rozmiarów drobnego przemysłu włościańskiego, wreszcie wyszukaniu środków ku wzmożeniu i rozszerzeniu tego ostatniego.

Z pierwszego wejrzenia sprawa przedstawia się ponętnie. Cóż bowiem można zarzucić dostarczaniu setkom i tysiącom rodzin dodatkowego zarobku i podniesienia w ten sposób dobrobytu mas włościańskich? Niestety jednak, sfera zjawisk ekonomicznych nie zawsze zgadza się z logiką zdrowego rozsądku. Na pozór wydaje się, że stworzenie nowych źródeł zarobkowania winno wzmocnić dobrobyt warstwy, tymczasem w rzeczywistości jest to danie włościaństwu oręża ku masowej ruinie za cenę chwilowego polepszenia. Uwzględnia to i sam p. Z., zbijając zdania p. Makowieckiego, że należy rozwijać przedewszystkiem już istniejące w kraju gałęzie drobnego przemysłu, ponieważ one musiały mieć swoją racyę bytu. Słusznie zauważa, iż tego czynić nie warto, skoro ma się do czynienia z gałęzią przemysłu, o której można mniemać, że prędzej lub później ogarnie ją produkcya wielka. I w samej rzeczy, przypuśćmy, iż włościanin w pewnej okolicy powierzył swój byt częściowo jakiemuś rzemiosłu. Lecz, korzystając z utartych dróg zbytu, zjawia się w miejscowości jedna i druga fabryka ze swą tanią, bo masową i maszynową wytwórczością. Z ukazaniem się spółzawodnika włościanin nie porzuci uprawianego rzemiosła, gdyż to jak koszula Dejaniry przyrosło do jego ciała, ale będzie usiłował walczyć — przez obniżenie cen towaru, dla pokrycia niedoborów w budżecie domowym zaprzęgając się do dłuższej pracy i opuszczając się zupełnie w rolnictwie, aż póki nie zostanie zupełnie zrujnowany jako rolnik i wciągnięty w wir nieopłacającego się zarobkowania. Dzieje ekonomiczne dostarczają obrazów, przerażających swą zgrozą, a powstałych właśnie wskutek zawładnięcia przez wielką produkcyę jakimś drobnym przemysłem włościańskim. Z tego powodu p. Z. przyjmuje, iż jedynie niektóre gałęzie nadają się do spełniania wyznaczonej im przezeń roli, mianowicie te, o których można sądzić, że ich nie zagarnie kapitał wielki. Są to roboty, w których sam gatunek wymaga obrobienia ręką ludzką, albo kiedy chodzi o smak artystyczny, niemożliwy w wyrobach fabrycznych, lub wreszcie tak proste, iż produkcya fabryczna opłacałaby się chyba na skalę olbrzymią (np. patyczki do zapałek). Wszakże i w tym wypadku jesteśmy zdania, iż sprawa nie przedstawia się tak różowo, jak w optymistycznem złudzeniu mniema p. Z. Zapomina on, iż z przemysłem drobnym włościanin zostaje wciągnięty w odmęt żywiołowo działających praw rynkowych i oddany na pastwę potęg podaży i popytu. Brak miejsca staje na zawadzie wyłożeniu tu oczekującego go wtedy procesu rozwojowego, zaważymy więc tylko punkty wytyczne. Przedewszystkiem sama atmosfera życiowa chłopstwa czyni niezbędnem pośrednictwo kupców, którzy, jak wskazują dzieje niemieckiego drobnego przemysłu, wkrótce zagarniają cały dochód, „kustarowi" pozostawiając zaledwie mizerne wynagrodzenie. Następnie, pod działaniem wzajemnej konkurencyi, cena wytworów ulega bezustannemu obniżaniu, wynikającec zaś stąd niedobory w budżecie rodzina włościańska usiłuje pokryć większem łożeniem pracy około przemysłu i opuszczaniem się w rolnictwie. Wreszcie, w samorozwoju dochodzimy do punktu, iż co było dodatkowem źródłem zarobkowania, staje się jedynem. „Kustarstwo" zamienia się w t. z. „przemysł domowy" — najuciążliwszą formę wyzysku najmickiego, bo dzięki swej domowości, wymykającą się z pod opieki prawodawstwa fabrycznego i organizacyj odporno-klasowych *). Ktokolwiek może nam na to odpowiedzieć, iż dałoby się uniknąć takiego obrotu rzeczy, gdyby można było zaopatrzyć przemysłowe włościaństwo funduszami, pozwalającymi wyczekiwać im przyjaznej chwili zbytu itd. itd. Niestety jednak, nie widzimy sił ekonomicznych i społecznych, które byłyby w stanie nadać ciało i krew różnym westchnieniom i receptom w tym względzie. Dla urzeczywistnienia niektórych „gdyby," p. Z. projektuje założenie organizacyj przemysłowych zbytu produktów włościańskich. Ale kto to uczyni i na jakiej zasadzie? Albo organizacya opierać się będzie, jak to winniśmy przyjąć w świecie interesu ekonomicznego, na zwykłem wyrachowaniu kupieckiem — będzie-

*) Wywody nasze są nietylko czysto teoretycznymi. Ich rzetelność byliśmy w stanie sprawdzić na koszykarstwie włościańskiem w kolonii Maszewo pod Płockiem.

my więc mieli pośrednictwo z jego owoców; albo zajmie stanowisko opiekuńcze, tj. będzie dziełem filantropijnem, a więc opartem na zasadach, o których nie można poważnie rozprawiać w ekonomii. Dla zażegnania więc żelaznych praw sfery ekonomicznej, mamy przed sobą — utopię.

K.

BADANIA NAUKOWE.

ZAGADNIENIA ANTROPOLOGICZNE.

I

Niedomagania ekonomiczne a zagadnienia antropologiczne. — Ostatnie należą do dalekiej przyszłości. — Ewolucya organiczna wśród ludzkości odbywa się w odniesieniu do mózgu. — Antropotechnika, jej stosunek do oświaty jako środka postępu. — Dziedziczność— wielkiem prawem organicznem w dziedzinie mózgu. — Celowa hodowla gatunku ludzkiego.—Czy to możliwe? — Proroctwo Topinarda i utopie Spencera.

Tegoczesne niedomaganie społeczne, polegające przedewszystkiem na coraz większej nieodpowiedniości panujących form prawno-społecznych z wyłonionemi przez postęp techniczny metodami wytwórczemi a zaostrzone nadto drugorzędnego znaczenia zatargiem pomiędzy przedstawicielami pracy i kapitału, już obecnie wyrugowało z uwagi powszechnej wszystkie inne zagadnienia i, co więcej, w przyszłości obiecuje jeszcze bardziej przykuć do siebie baczność ogółu. A jednakże, po za obrębem kwestyj ekonomicznych, nauka zaczyna ukazywać zarysy innych zawikłań — antropologicznych, które tak lub inaczej ród ludzki będzie musiał rozstrzygnąć w przyszłych etapach rozwoju — pod groźbą zwyrodnienia lub wymarcia. Tymczasem jednak świadomość ich znaczenia tuła się jedynie wśród bardzo nielicznych kół, po za którémi zwykle bywa witana, jeżeli nie z pogardą, tedy z przekleństwem lub obojętnością. Jest to rzecz zrozumiała, ponieważ w wielu razach fakty te przeczą najuporniej tendencyom doby, w innych znowu — podnoszone zagadnienia mogą znaleźć rozwiązanie w tak dalekiej przyszłości, iż teraźniejszość, brzemienna wzrastającém rozdźwiękiem ekonomicznym, odsuwa je z całą słusznością od siebie. W obecnym wieku zaledwie raz jeden potrącono szeroko o tę dziedzinę—z powodu zniesienia niewolnictwa w Ameryce północnej. Unicestwienie jarzma murzyńskiego stanowi wielki krok dziejowy, lecz, naszem zdaniem, ważny jedynie dla rasy „białej.“ Wyzysk bowiem upadła przedewszystkiem wyzyskującego, a interes „białych“ wymagał zniszczenia tego źródła, obdarzającego ją instynktami i ideami brutalnemi. Murzyn, być może, odniósł bardzo nieznaczne korzyści. Lecz jego „prawa ludzkie“ wymagać miały równouprawnienia go z białym. Kazuistyka uczyniła rozwiązanie kwestyi zależnem od udowodnienia jednakowości sił psychicznych u obu grup rodu ludzkiego, co dało rzecznikom niewolnictwa łatwą sposobność zwycięztwa przez wykazanie, iż mózg czarnego człowieka jest w porównaniu z mózgiem białego maszyną bardzo lichą. Lecz, szczęściem dla rasy białej, unicestwienie niewolnictwa zależało od czegoś więcej, niż „prawa ludzkie“ murzyna — spoczywało mianowicie w interesie materyalnym całej warstwy najmniejszej Stanów Zjednoczonych, że już nie wspomnę o innych podobnego rodzaju czynnikach. W sporach naukowych, które z tego powodu wszczęły się wśród antropologów amerykańskich, nagromadzono mnóstwo pouczających wskazówek, pomnożonych przez następne trzy dziesiątki lat zmudnych poszukiwań. Jakeśmy wspomnieli, wyprowadzone stąd wnioski nie wydostają się po za koła uczonych specyalistów. Otóż mamy zamiar w szeregu artykułów zapoznać czytelników *Prawdy* ze zdobytymi w tej mierze wynikami wiedzy antropologicznej. Przedstawiają one trudny do zgryzienia orzeszek dla sentymentalizmów społecznych— przynajmniej w niektórych wypadkach; zadaniem wszakże nauki nie jest schlebianie smakowi publiczności, ale stwierdzanie faktów. A im z większą przedmiotowością ona to czyni, tem sumienniej wywiązuje się ze swego obowiązku — uświadamiania człowiekowi stosunków przyrody, zarówno fizycznej, jak organicznej i społecznej. Zresztą rozwiązanie zagadnień antropologicznych, jeżeli kiedykolwiek zostanie dokonanem, nastąpi w dalekiej przyszłości. Na dzisiaj zawikłanie społeczne góruje nad wszystkiem, jakkolwiek nie wybiega po za pewne odłamy „białej“ grupy ludzkości.

Nim jednak przystąpimy do określenia zagadnień szczegółowych, musimy zastanowić się nieco nad przyszłością organiczną człowieka. Jak wykazuje najprawdopodobniejsza z hypotez o jego pochodzeniu, przedstawia on ostatnie ogniwo niezmierzonego procesu rozwojowego, biorącego początek w prostym i niekształtnym kawałku protoplazmy. Jego morfologiczny ustrój jest zbudowany według typu, właściwego wszystkim kręgowcom; jego czynności fizyologiczne różnią się od zwierzęcych jedynie wygórowaniem procesów mózgowych. Wszystko to jest właśnie dziedzictwem po ubiegłych fazach rozwoju, które w skróceniu i w najogólniejszych zarysach odnajdujemy podczas życia embryonalnego (zarodkowego). Lecz wyszedłszy z pośród form zwierzęcych, człowiek nie stanął nieruchomie na osiągniętym szczeblu. Postęp organiczny jest faktem stwierdzonym wśród wszystkich grup ludzkości, tylko że dotyczy zwłaszcza jednego specyalnego organu — mózgu. Polega mianowicie na tem, iż budowa mózgu staje się odpowiedniej i równoległej zastosowaną do coraz obszerniejszego koła zjawisk współczesnych i kolejnych w przyrodzie. Subjektywnie przedstawia się to jako zdawanie sobie sprawy z większej liczby zdarzeń wszechświata. Narząd mózgowy w łonie ludzkości odgrywa też samą rolę, co niby-nóżki (pseudopodia) u ameby — jest dźwignią wytrwania w walce o byt, i jak postęp w rozwoju organicznym wspomnianego stworzenia jednokomórkowego mierzyć będziemy wzrostem zdolności wysuwania niby-nóżek *), podobnież u człowieka — ulepszaniem się maszyny mózgowej. Dane biologii nie umieją wyznaczyć granic doskonaleniu się ludzkości w tej mierze, lubo z całą stanowczością powiadają, iż subtelność umysłowa stanowi jedyną skalę godziwą dla sądzenia o wyższości oddzielnych ssaków dwunożnych.

Z uwag powyższych wysuwa się pytanie: czy niepodobna byłoby na podstawie danych ścisłej nauki wykreślić zasady możliwie najprętszego doskonalenia się rodu ludzkiego, tj. zbudować antropotechnikę, jak istnieje już zootechnika w hodowli bydła rasowego? O ile wiemy, kwestyę tę po raz pierwszy postawił jeden z wybitniejszych członków paryskiego Towarzystwa antropologicznego, weterynarz Sanson. Wiedza odpowiada na to w sposób twierdzący. Dotychczas oświatę uważano za najpotężniejszy środek doskonalenia rodu ludzkiego. Lecz przytem zapominano o jednem, iż raczej jest to olej, używany dla smarowania trybów maszyny mózgowej, aniżeli środek, sprowadzający znaczne ulepszenia. Wprawdzie i oświata, o ile ma na widoku ćwiczenie zdolności myślowych, wydoskonala przez szereg pokoleń maszyneryę mózgową, lecz czyni to powolnie i w bardzo nieznacznym stopniu. Antropologia nowoczesna, wśród swych przedstawicieli licząca mnóstwo śmiałych i energicznych umysłów, zrażona homeopatycznymi skutkami hodowli mózgu za pośrednictwem szkoły, zwróciła się ku wyszukaniu innych środków. Rezultaty, zdobyte przez umiejętną hodowlę roślin i zwierząt domowych, podziałały zachęcająco. Hodowca dokonał rzeczywistych cudów: wytwarzał np. dowolnie zwierzęta, które nie mogłyby przesadzić choćiażby najniższego parkanu, inne z pożądaną delikatnością szerści, inne z odpowiednią chyżością itd. Ten i ów z pośród antropologów zadał sobie pytanie: czyżby podobnej hodowli nie można przeprowadzić i wśród ludzi, oczywiście we względzie najważniejszego dla nich organu — mózgu? Wykrycie przez Darwina zasady dziedziczności stało się punktem wyjścia dla snutych w tym kierunku wywodów. Wprawdzie prawa jej działania pozostały po dzień dzisiejszy tajemnicą dla nauki, ustalono wszakże niektóre punkty. Stwierdzono, że dziedziczność dotyczy zarówno wszystkich organów, w tej liczbie i mózgu. Jednostki z wydoskonalonym przyrządem myślenia jedynie wyjątkowo pozostawiają potomkowi mózg niższej budowy; będzie to wtedy swego rodzaju kalectwo lub raczej atawistyczne uwstecznienie embryonu. Podobnież, z rodziców mało uzdolnionych tylko wyjątkowo może przyjść na świat zdolne potomstwo, i to również pod wpływem atawizmu, dzięki zabłąkaniu się śród przodków jednostki bardziej posuniętej co do budowy mózgowej. Są to prawa, niepodlegające wątpliwości w obecnym stanie wiedzy biologicznej. Wypływa stąd kilka wniosków. Pożycie małżeńskie jednostek uzdolnionych poręcza niejako za produkcyę odpowiedniego potomstwa. Natomiast krzyżowanie osoby wyższej z osobą niskiej budowy mózgowej przedstawia wszelką możliwość upodlenia zasobów, przekazanych pierwszej w spadku przez przodków. Nie kreślimy poszczególnych kombinacyj, gdyż czytelnik z łatwością może sam tego dokonać. Wogóle z całą śmiałością wnioskować wolno, że ludzkość, gdyby zdołała urzeczywistnić w swym łonie dobór płciowy co do organu mózgowego, drogą krzyżowania najdoskonalszych i powstrzymania od płodzenia potomstwa nieudolnych w tej mierze jednostek, zdobyłaby najpotężniejszy środek postępu umysłowego, skuteczniejszy nad wszelkie oświaty masowe. Właśnie wskutek uwzględnienia podobnych zasad zootechnika doszła do stworzenia zwierząt rasowych.

Jednakże stosowanie powyższych wymagań śród ludzkości musi liczyć się z rozwojem coraz znaczniejszym popędów humanitarnych. Nasze uczucia moralne nie oburzają się z powodu doświadczeń, czynionych nad zwierzętami. Natomiast powstaną one z całą namiętnością przeciw wszelkim zgóry przeprowadzonym próbom w zakresie człowieczeństwa — protest, któremu z całego serca sprzyjamy. Hodowla umiejętna we względzie mózgu ludzkiego możliwą jest jedynie wtedy, gdy w roli inicyatora wystąpi jednostka odpowiedzialna, czyniąca w ten sposób zadość swym instynktom moralnym. Mianowicie, moralność, jeżeli oderwiemy ją od stosunkowo przelotnych zaburzeń, wywoływanych przez antagonizmy i potrzeby klasowe, przedstawia się jako zbiór przepisów, mających na celu zachowanie gatunku ludzkiego. W miarę rozwoju przybierają one charakter coraz humanitarniejszy, tj. obejmujący coraz szersze koła w przestrzeni i czasie. Niegdyś, zresztą i obecnie na wyspach Polinezyi, dzieciobójstwo uchodziło nietylko za czyn nieobojętny, ale owszem zasługujący na pochwałę. Nas cywilizowana natura wzdryga się na myśl podobną. Nie przeto nie staje na zawadzie założeniu, iż w przy-

*) Postęp może tu iść jeszcze inną drogą — w postaci zwiększania złożoności budowy, atoli wtedy mamy dążność wytworzenia nowej formy z ameby.

szłości ludzkość dojdzie do takiego rozwoju uczuciowego, iż ze wstrętem spoglądać będzie na barbarzyńców europejskich z XIX wieku, co jedynie potępiali odbieranie życia niemowlęciu, lecz bez odrazy przekazywali potomstwu nizki mózg i schorzały organizm. Atoli ukazanie się tego rodzaju popędów moralnych i ich wyładowanie masowe każe przypuszczać jedno — udostępnienie masom społecznym wiedzy. To znów jest niemożliwe bez zniesienia wyzysku i anarchii ekonomicznej. Umiejętna hodowla rodu ludzkiego w celu udoskonalenia narzędzi mózgowych postępu zależy przeto od uprzedniego wcielenia w życie innych podstaw bytu ekonomicznego. Tu nasuwa się druga kwestya. Reprodukcya gatunku ludzkiego dokonywa się drogą zaspokojenia jednego z najpotężniejszych popędów indywidualnych. Czyżby w tym razie skazano go na milczenie? Żadna moralność nie jest tak silną, aby zamknąć usta potrzebom organicznym. „Self restraint“ nigdy nie obejmie znacznych kół. Zostawimy ten zarzut w całej pełni, jakkolwiek wyłoniony przez warunki obecnej doby, a coraz bardziej krzewiący się ruch neomaltuzyański nie widziałby w odparciu żadnej trudności...

W całym toku wywodów graliśmy rolę niejako sprawozdawcy. Dobór płciowy odnośnie mózgu jest hasłem, wypisanem przez istniejące w Ameryce stowarzyszenia. W Anglii znalazł on gorącego rzecznika w prezesie londyńskiego Towarzystwa antropologicznego, Fr. Galtona; we Francyi namiętnego szermierza w młodym profesorze uniwersytetu, Lapouge'u. Cokolwiekbądź jednak, kwestya nieograniczonego postępu mózgowego nie podlega wątpliwości dla najwybitniejszych antropologów. Czytelnik pozwoli mi przytoczyć słowa, wypowiedziane w marcu bieżącego roku przez Topinarda w paryskiej szkole antropologicznej. „Nie potrzebujemy się wstydzić naszych przodków. Tak, byliśmy ongi małpami, jako one jeszcze wcześniej płazami, rybami, być może nawet robakami. Lecz są to dawne czasy — tak wyrośliśmy od tej chwili! Nasi współzawodnicy wczorajsi wiją się pod naszemi stopami; uniestwiamy tych, którzy nam się nie podobają, stwarzamy nowe gatunki, skoro uczuwamy tego potrzebę. Rozpostarliśmy zwierzchnictwo nad całym globem, przeinaczając rzeczy stosownie do swego upodobania; przerzynamy międzymorza, wyzyskujemy oceany, przecinamy powietrze, zbliżamy odległości, wykradamy ziemi wiekowe tajemnice. Nasze pragnienia, myśli i czyny nie znają granic. Czegóż jeszcze żądać? Czyż zostania bogiem? Być może, i to nastąpi, rozwój bowiem nie wyrzekł jeszcze ostatniego słowa. Ongi istniał na ziemi anthropopithecus, w przyszłości może ukaże się anthropotheomorphus...“ Hovelacque w *Naszych przodkach* usiłował odwzorować pierwszego. Topinard żywi nadzieję, iż wiedzy uda się to samo uczynić względem drugiego. Spencer pierwszy podjął to zadanie w swej *Biologii*. Wychodzi on z założenia antagonizmu pomiędzy siłą rozpłodczą gatunku a wydatkowaniem energii organicznej na cele indywidualne (w wypadku ludzkości, między innemi, na działalność umysłową). Nie możemy dla braku miejsca streszczać jego wywodów. Zauważymy jedynie, iż zdaniem filozofa angielskiego człowiek zapanuje kiedyś nad całym globem ziemskim, mózg jego tak przystosuje się do współczesności i kolejności przyrody, iż przewidzieć zdoła dalekie zjawiska, wyliczyć zawikłane stosunki i ujarzmić najtajniejsze siły. Ludzkość dojdzie do zupełnej harmonii z wymaganiami środowiska, w tej liczbie, skutkiem zwiększenia wydatkowania energii organicznej na cele umysłowo - indywidualne, zdolności rozpłodcze ulegną zmniejszeniu. Potomstwo, płodzone przez każdą parę, prawdopodobnie nie przewyższy dwóch, trzech głów...

Pozostawmy jednak te marzenia uczonych. Jeżeli kiedykolwiek zostaną urzeczywistnione przepowiednie Topinarda i Spencera, projekty zaś Galtonów i Lapouge'ów wykonywane, dużo wody upłynie. Przedewszystkiem zaś wypadnie uwzględnić niektóre prawdy antropologiczne, których wyłożeniem zajmiemy się w następnych artykułach.

Lud. Krz.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Adam Asnyk: *Komedya konkursowa*. Komedyjka w jednym akcie. Kraków, str. 80.

Jeszcze przed laty kilkunastu po obu stronach ulicy Łobzowskiej ciągnęły się sznury domków maleńkich, przygarbionych i chylących się ku ziemi. Panowały tu razem cisza i pustka, nieodłączne siostrzyce. Czasem tylko krzyk rozbawionych dzieciaków obił się o uszy mieszkańców, to znowu rankiem zadudniał odgłos pędzącego po bruku chłopskiego wozu. Niby zwało się to miastem, lecz wszystko już przypominało wieś: liczne ogrody, gęste, lecz opuszczone, Rudawa, niedbale płynąca w wąskim korycie, którego brzegi pokrywało zielsko i kępki trawy, woń obory i ryki jej mieszkańców. W dali szarzały wzgórza, obrosłe na grzbiecie i bokach czarnym, sosnowym lasem. A bór to wielki, bo ciągnie się het daleko, po za stare ruiny tynieckiego klasztoru.

Na tej ulicy w domku nie większym, lecz porządniejszym od innych zamieszkał przed laty Adam Asnyk. Tu więc powstała większa część jego pięknych utworów. Prócz pereł liryki puszcza on od czasu do czasu w świat takich *Braci Lerche*, w których szydząc i karcąc, napomina i poucza zarazem.

Nie treścią, jeno celem zbliża się do nich niedawno wydana w osobnej odbitce *Komedya konkursowa*. Powiedzmy z góry, że powstała ona pod wrażeniem chybionego w Warszawie konkursu dramatycznego imienia Bogusławskiego. Poeta tak dokładnie chciał odtworzyć rzeczywistość, że wiele zdań jest wprost wyjętych z wydrukowanego sprawozdania lub z ówczesnych artykułów i wzmianek dziennikarskich. Owe zdania: „Pchnął na świeże tory naszą literaturę, stworzył nową erę, jest tym wielkim człowiekiem, na którego kraj cały z utęsknieniem czekał,“ albo: „wschodzące światło geniuszu, którego brak dał nam się uczuwać“ napotykaliśmy wówczas bardzo często. Komu wreszcie nieznanem jest to wyrażenie, przytaczane później przez szyderczych przeciwników: „Wszyscy zresztą byli pod wpływem czarodziejskiego zaklęcia. Wzruszający był to widok, gdy po odczytaniu sędziowie rzucili się nawzajem sobie w objęcia i wylewali słodkie łzy rozrzewnienia, że mogą uwieńczyć tak znakomite dzieło.“ Takie nawet szczegóły, jak owa bajka, napisane w siedemnastym roku życia przez mylnie nagrodzonego zwycięzcę, a uważana teraz za dowód jego wszechstronnego talentu, jego życiorys i wizerunek, umieszczony w pewnem obrazkowem czasopiśmie, dowodzą, jak Asnyk chciał, by owa satyra opierała się na trwałych i prawdziwych podstawach.

Rzecz dzieje się w jednem, bliżej niewymienionem z większych miast naszych, w mieszkaniu Hugonowskiego. Ów Hugonowski, człowiek, który przekroczył pięćdziesiątkę, a więc daleko za sobą zostawił złudzenia i marzycielskie sny młodości, jest poetą, znanym i cenionym. Owo uznanie przecież nie wystarcza mu, gdyż on ma się nie za zdolność, jeno za geniusz, nie za poetę, lecz za wieszcza, przed którym cały naród powinien paść na kolana i ustawicznie składać czołobitne hołdy. W życiu prywatnem jest ojcem ładnej Stasi, którą opiekuje się siostra jego, Kancińska. Ona też zarządza domem, żona bowiem poety dawno już rozstała się z tym światem. Jak ojciec pragnie hołdów ogółu, tak córka wzdycha do nadskakiwań jedynego ideału. Wreszcie pojawia się i ten w osobie niejakiego Bekasińskiego. Zdrów, czerstwy, rumiany, lat dwadzieścia osiem i wioska w Sanockiem— oto wszystkie zalety owego młodzieńca. Do Stasi zbliża się z niemem uwielbieniem, jako do córki wielkiego człowieka. Chętnie oświadczyłby się, lecz nie śmie, boć sądzi, że to za wysokie progi dla niego, który tylko gimnazyum skończył. Gdyby mógł się czem odznaczyć, rozsławić, wtedy już śmielej wyznałby swe uczucia. Los uśmiecha się mu. Ogłoszono konkurs dramatyczny, na który on cichaczem posyła swą sztukę p. t. *Pod Maćkową gruszą*, za godło zaś wybiera zdanie: *Eventus magister stultorum*. Równocześnie i Hugonowski czyni to samo, będąc pewnym zwycięztwa. Jego utworu tytuł brzmi *Nieszczęśliwi*; godło: *Dubius eventus belli* widnieje na kopercie, zawierającej nazwisko autora. Los chciał, że koło Stasi kręcił się również stary i wyschły mól książkowy, Tenowicz. Ten należał do sędziów konkursu i na podstawie tego stanowiska obmyślił podstęp, mający zyskać dla niego łaski Hugonowskiego. Oto począł wypytywać się Stasi, czy ojciec nie posłał na konkurs swej sztuki. Gdy ta odpowiedziała twierdząco, spytał o godło. Ta pamiętała tylko wyraz: *eventus*. Zapomniano o *Nieszczęśliwych*, a miano na oku tylko sztukę Bekasińskiego. Po krótkiej naradzie sąd konkursowy w przekonaniu, że wieńczy powszechnie znanego poetę, ogłosił utwór *Pod Maćkową gruszą* za arcydzieło. Po otworzeniu koperty nosy nieco się wyciągnęły, lecz nadrabiano miną, na zewnątrz zaś postanowiono pomódz sobie reklamą. Bekasiński promieniał z radości. Redaktor Gazetkiewicz wmówił w niego, że jest wielkim człowiekiem; uwierzył tedy i śmiało oświadczył się o córkę Hugonowskiemu. Ten jednak wpadł w szalony gniew, dowiedziawszy się, że ma do czynienia ze szczęśliwym rywalem. Mimo więc błagań córki i siostry łaje Bekasińskiego i prośbie jego odmawia. Lecz Kancińska jest niewiastą twardego serca. Rozżalonego brata uspokoiła smażonemi truskawkami, które niezmiernie lubił, przedstawiła mu korzyści związku, aż wreszcie ostre sprawozdanie z utworu Bekasińskiego, mięszające tego z błotem, pomogło jej do przeprowadzenia powziętego zamiaru. Bekasiński, jednego dnia wyniesiony pod niebiosy, w kilka zaś godzin później, sponiewierany, choć był uczciwym człowiekiem, wyrzeka się literatury, Hugonowski zaś oddaje mu córkę. Tenowicz, główny sprawca chaosu, osiada na koszu.

Z tej osnowy i pominiętych szczegółów dużo można użytecznych wyciągnąć nauk. Po pierwsze chciał Asnyk, nieubiegający się nigdy o żadne urzędowe i półurzędowe wieńce, wykazać, że wyroki konkursowe są rzadko sumienne. Rozstrzyga tam albo los, albo też, i ta częściej, stronnicza protekcya. Powtóre wykazał poeta i to, że artyści wogóle, a literaci w szczególności, nie są bardzo milymi w pożyciu domowem. Pracują bowiem nerwami, nerwy więc i im i innym tysiące sprawiają udręczeń. Tę samą stronę ich życia oświetlił i Alfons Daudet w swych ślicznych nowelach, objętych wspólną nazwą: *Małżeństwa artystów*. Oto co mówi Kamińska: „Wielcy ludzie. (*Wzrusza ramionami*). Trzeba się nas, kobiet spytać, co o was sądzić. Zdaleka możecie jeszcze jako tako wyglądać, ale wobec nas, które widujemy was w codziennym negliżu, jakże śmieszne odgrywacie role! Niezaradni w praktycznem życiu, zgryźliwi, napuszoni, zazdrościcie jedni drugim i obgadujecie się nawzajem.

Najgrubszem pochlebstwem można was wywieść w pole, najlżejsza zaś uraza każe wam zapominać o zasadach słuszności i zdrowego rozumu. Gotowiście dla fantazyi poświęcić przyjaciół, żonę, dzieci..." Lecz i Hugonowski ma słuszność, gdy w innem miejscu jej odpowiada: „Szydź, szydź sobie ze mnie. Jest czego. Może ci się wydaje, że dola pisarza w naszym kraju jest zbyt rozkoszna, osypana złotem i kwiatami? Może się dorabiamy olbrzymich majątków? Zdobywamy zaszczyty i godności? Mnie się zdaje, że nie. Młodość naszą spędzamy o chłodzie i głodzie, spotykając się wszędzie z niedowierzaniem i obojętnością. Po długich latach walki przychodzi nareszcie chwila, w której łudzić się możemy, że chociaż biedni i wydziedziczeni, otrzymujemy przecież upragnioną zapłatę, że głos nasz zaczyna coś ważyć w społeczeństwie. Ale złudzenie trwa krótko, zjawia się naraz nowe pokolenie, które woła: „ustąp z drogi, stary głupcze, na cmentarz — zacofany puszczyku!" i z całego naszego dorobku, nie pozostaje nic, jak tylko łóżko w szpitalu i kilka nekrologów po dziennikach." Wspaniały to opis doli literackiej! Jest on godzien stanąć z charakterystyką życia literackiego, pióra Brandesa (tom V. 350, 81). I tu i tam wysuwa się smutne i łzawe oblicze rzeczywistości.

Niewątpliwie tedy Asnyk chciał przez zestawienie dwóch takich obrazów powiedzieć: „Wy, których los przykuł do ludzi, pracujących sercem i głową, oddających otoczeniu krew swą i życie w ofierze, znoście drobne ich kaprysy, szanujcie ich śmiesznostki, bo ich udziałem na drodze życia prawie zawsze gorycz, prawie wyłącznie boleść."

I kto widział raz w życiu smutną, porytą zmarszczkami twarz autora *Komedyi konkursowej*, ten słowom powyższym w zupełności uwierzy.

A. Witski.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Rozszerzone granice paszportu. — Gust powrotny. — Ukradkowe rozporządzenie na granicy austryackiej. — Mąż pilnujący jej bram. — Ostrzeżenie najmitów szukających pracy w Prusach. — Dzielna czwórka. — Dowcipna agencya. — Hamleci wobec kanalizacyi. — Filozofia z Freta i N. Świata. — Oszczędności kolejowe. — Lutnia żeńska. — Wystawa pięknych kobiet. — Warszawa i Spaa. — Biesiada i tokowisko.

Do niedawna jeszcze dziedzina paszportu była bardzo ograniczoną. Stanowił on czasem kartę bezpieczeństwa od „złego wypadku" lub też nitkę, którą władze miejscowe zawiązywały na nodze odlatującego ptaka, ażeby w potrzebie mogły go ściągnąć. Austryacy, prusacy, francuzi zaopatrywali się w świadectwa tego rodzaju tylko przy podróżach na Wschód, a nasze „zielone książeczki" i karty wolnego przejazdu wewnątrz kraju wydrwiwali niejednokrotnie. I cóż się stało? Oto cała prawie Europa środkowa zaprowadziła u siebie paszporty, rewidowane staranniej, niż tłomoczki na komorach, a obostrzone większemi formalnościami, niż dowody przy przewozie nieboszczyków. Wiadomo, jaką surowość pod tym względem panuje obecnie w Niemczech. Świeżo zmałpowała je niewoliczo Austrya. Kiedy pisma polskie i ruskie doniosły o wymaganiu poświadczeń konsularnych na granicy austryackiej, zdziwiony *Journal de St. Petersbourg* zaprzeczył temu, gdyż w ministeryum spraw zewnętrznych nic nie wiedziano. Wkrótce wszakże sam przyznał słuszność doniesieniom i ostrzegł wyjeżdżających, ażeby mieli „wizy" na swych paszportach. W swoim czasie wyjaśniliśmy rdzeń rzeczy w owych „wizach" — stanowią one znaczny, a niewymagający żadnego nakładu dochód. Ilu podróżnych przekroczy granicę zachodnią, tyle rubli wpłynie do kieszeni niemieckiej lub austryackiej. W imieniu kotła kłócić się z garnkiem trudno; nie przymawiamy przeto nowonabytemu gustowi żółto i czarno pręgowanych cywilizatorów, ale zapytamy: czemu — również za przykładem swych mistrzów — wprowadzają swoją reformę tak dalece chyłkiem i pocichu, że o niej nawet *Journal de St. Petersbourg*, czyli ruskie ministeryum spraw wewnętrznych nie wiedziało? Czy nie byłoby prościej i godziwiej, ażeby konsulaty austryackie przesłały do dzienników miejscowych oznajmienie, że od pewnej daty przejeżdżający granicę winni posiadać ich „wizę"? Środek ten przedewszystkiem ustrzegłby mnóstwo ludzi od wpadnięcia niewinnie w pułapki, z których nieraz tanim kosztem czasu i pieniędzy wydobyć się trudno. Do Warszawy ze Szczakowej nie daleko; ale proszę wyobrazić sobie, że znajdzie się w potrzasku mieszkaniec Kazania lub Tyflisu. Dokąd on, zatrzymany na granicy, ma się zwrócić po „wizę" dla swego paszportu? Czy także — jak w Nieszawie dla Niemiec — gdzieś pod ścianą Galicyi osadzony zostanie osobny konsulat austryacki, który będzie wyrokował o prawie wolnego przejazdu wszystkich mieszkańców od Uralu, a może i Amuru do Pilicy i Wisły? Dziwny to będzie stróż bezpieczeństwa monarchii habsburskiej, ale niechże przynajmniej wiemy, że on jest i gdzie jest. Wtedy mój przyjaciel z Kamczatki, przyaresztowany w Szczakowej, zapyta męża, pilnującego wrót Austryi w Olkuszu lub Bendzinie, czy jej nie grozi niczem i może przestąpić jej progi?

Lud prosty, który gazet nie czyta i tradycyą ustną żyje, dotąd pada ofiarą swych złudzeń. Z pasu nadgranicznego wielu najmitów wywędrowało do Prus na zarobki. Biedacy ci dotychczas nie wiedzą o przestrzeganych tam paszportach i wizach, a nadewszystko o klątwie, rzuconej na poddanych ruskich. Skutkiem tego Naczelnik Kraju polecił władzom administracyjnym pogranicza, ażeby objaśniły lud o zamkniętem dla nich polu pracy w przyległych prowincyach pruskich. Odnośne rozporządzenie przytacza *Dziennik łódzki*, a powtórzą je zapewne pisma ludowe. Należy ostrzegać prostaczków i zrozumiale wyłożyć im teoryę „swobód konstytucyjnych" państwa „bojaźni bożej i dobrych obyczajów" (pod tą nazwą Niemcy znane są na ziemi i w niebie).

Wątpimy zaś, ażeby szukającym za granicą pracy najmitom naszym pomogła cośkolwiek „czwórka" Bol. hr. Potockiego z Bedlewa. Na manewry, które niedawno odbywały się pod Konarzewem, pan ten przyjechał tak pięknymi końmi, że one aż zwróciły uwagę ces. Wilhelma, który go wezwał do siebie i rozmawiał przez 10 minut. Chociaż zdarzenie to podkreślone zostało znacząco w naszych gazetach szlacheckich, nie sądzę, ażeby ono oddziałało na politykę pruską, nawet w odniesieniu do ludności pogranicza, szukającej w Prusach zarobku. Przypuszczam, że cesarz pytał jedynie hrabiego, gdzie nabyć można tak dobraną czwórkę i wiele ona kosztuje, a nie był wcale ciekaw, co jej właściciela sprowadziło na manewry.

Jakiś poczciwiec, usłyszawszy skargi naszeo na brak świeżych pomysłów, założył przed kilku laty w Warszawie — według *Kuryera warsz.* — agenturę Towarzystwa ubezpieczeń szyb i luster od stłuczenia. Ani przypuszczałem, że miasto nasze, które dotąd rozprawia o potrzebie założenia porządnego kantoru służących i jeszcze nie rozstrzygnęło ciekawej kwestyi, czy właściciele domów powinni je połączyć z kanałami, posiada tak cenny wytwór cywilizacyi. A jednak cieszyło się nim „od lat kilku." Między innymi ubezpieczył się w niem pewien cukiernik. Kiedy mu stłuczono szybę, zwrócił się do Towarzystwa po odszkodowanie. Ponieważ agent zaczął z nim zbyt długi taniec, a równocześnie przedstawili daremnie pretensye inni, więc spór sprowadził zaciekawioną policyę. Dokonana rewizya wykazała, że polisy były drukowane w Warszawie bez zezwolenia władzy, że księgi prowadzono nieporządnie, że interesantów wyzyskiwano itd. Naturalnie opiekun szyb i luster został... ubezpieczony do czasu odpowiedzi z Petersburga na pytanie, czy tam istnieje takie Towarzystwo, którego on mianował się agentem. Przeciw podobnemu kłusownictwu społecznemu istnieje tylko jeden środek skuteczny — zastaw pieniężny, kaucya. Wprawdzie wtedy będziemy gorzej „ubezpieczeni," ale za to bezpieczniejsi.

Coraz poważniej w głosach „kamieniczników" zarysowuje się nieprzewidziana przez nikogo kwestya: na co Warszawie kanalizacya? Czytelnik zapewne przypomina sobie jej historyę: naprzód z zapałem pochwycono myśl skanalizowania miasta, potem radzono powierzyć całe przedsięwzięcie siłom miejscowym, następnie zaczęto drwić z p. Lindleya i karcić go za zbyt powolne prowadzenie robót, teraz, kiedy już główne kolektory zbudowane, występuje cały szereg kamienicowych Hamletów, którzy oświadczają, że lepiej *not to be*, bo na przykanaliki nie mają pieniędzy. Cudny obrót rzeczy! Warszawa wyda kilkanaście milionów rs., urządzi w swem wnętrzu sieć kanałów i — jak dotąd — będzie ociekała zewnętrznymi rynsztokami. Niema innej rady, tylko musimy pozostać przy tradycyi, a z „przedwczesnej" reformy zrobić inny użytek. Nie byłem nigdy członkiem żadnego komitetu zabaw, więc wyobraźnia nie snuje mi odpowiednich pomysłów; ale z radością widzę, że stanęła przed nami nowa kwestya, którą w tym kierunku niezawodnie wyzyskamy. Ponieważ wielkie kolektory nie mogą służyć temu celowi, dla którego zostały pierwotnie przeznaczone, więc niech usłużą zabawie. Jak w nich urządzić loterye fantowe, regaty, popisy cyklistów, tańce dzieci itp. rozrywki — to już rzecz specyalistów, którzy bez mojej niezdarnej imaginacyi się obejdą. Dla ścisłości wszakże winienem zaznaczyć jeden znamienny fakt. Podczas gdy Hamleci z Nowego Światu twierdzą, że są za biedni na budowanie kosztownych przykanalików i głoszą: *not to be*, Hamleci z Freta, których domy wychodzą drugą stroną na Koźlą, proszą Magistrat, ażeby im co prędzej na tej ulicy przeprowadzono kanały, a nawet gotowi są wesprzeć go zaliczką, czyli wołają: *to be*. Kto ten węzeł trafnym domysłem rozetnie? Czy prawda nie leży czasem na środku drogi między Nowym Światem a Freta, tj. — domy w Warszawie są rzeczywiście obdłużone, a koszta połączeń z kanałami dotkliwe, ale nasz wstręt do czystości także wielki?

Delikatniej można to nazwać oszczędnością, której plon — jak wiadomo — padła szczególniej na nasze koleje. Wywróżyliśmy, że pomimo drwin z Nadwiślańskiej, jej duch udzieli się innym. Widzimy go już w szerszem rozpostarciu: Terespolska ma zmniejszyć liczbę pociągów osobowych i połączyć je z towarowymi (gdyż dotąd oskarżywał się — nadmiar podróżnych), Wiedeńska zaś i Bydgoska uwiadomiła całą służbę, że na przyszłość nie będzie jej dawała pożyczek bezprocentowych z funduszów Towarzystwa, ani też zaliczek na pensye. Dyrekcya usprawiedliwia swą oszczędność tem, że pensye urzędników niejednokrotnie obciążane bywają kilkoma zobowiązaniami: aresztem sądowym, pożyczką z kasy zjednoczenia, składką szkolną lub karami za wykroczenia. „O ile motywy te — powiada

Kuryer codzienny — nie zawsze są słuszne, wykazuje choćby ta okoliczność, że urzędnik, posiadający pożyczkę procentową z kasy zjednoczenia, lub mający położony na pensyi areszt sądowy, nie miał prawa starać się o pożyczkę bezprocentową z funduszów Towarzystwa. Co się tyczy zaliczeń udzielanych na pensye, to zaprzestanie tej dogodnej dla urzędników manipulacyi, nieprzysparzającej dyrekcyi kłopotów, ani też akcyonaryuszom wydatków, również nie jest motywowane.“ Nie wysłuchała mojej prośby droga Wiedeńska i nie „oszczędziła“ sobie literatów, co byłoby dla niej większą ulgą, niż ograniczenie kredytu służbie.

Jedną z najdotkliwszych obraz dla wielu kobiet jest uważanie ich za ludzi. Uznaj w „damie“ tylko człowieka, traktuj ją na równi z mężczyzną, nie przyznawaj jej pewnych przywilejów i nie odbierz pewnych praw, a wkrótce nazwie cię nudziarzem lub gburem. Skoro upuści wachlarz, powinieneś go nawet nieznajomej aportować; skoro zdrowa i młoda nie ma krzesła na koncercie, powinieneś jej stary i chory ustąpić; skoro rozmawia z tobą, powinieneś nie dotykać jej rozumu, tylko podniecać humor — itd. Dążność do emancypacyi jest w wyjątkach faktem, ale wogóle — plotką lub modą. Większość kobiet nie chce być równouprawnioną. Życie społeczne jest dla nich rzeką, w której pragną się kąpać osobno. Po chybionej próbie z własnem Towarzystwem wioślarskiem, pragną teraz mieć własną łazienkę artystyczną—„Lutnię.“ P. Z. Noskowski wykazuje, że sama natura głosów niewieścich nie pozwala na tworzenie z nich takich chórów, jak męzkie, a przytem zwraca uwagę, że należałoby raczej podpierać instytucye już istniejące, niż tworzyć nowe z wątpliwą racyą bytu. Do uwagi tej dołącza adres — Towarzystwa muzycznego. Rzeczywiście, czemu „lutnistki“ nie skierują tam swych pragnień? Ba, Towarzystwo muzyczne — to już za stare sitko, ażeby je warto było jeszcze wioszać na kołku. „Lutnia“ żeńska, czyli gustowna suknia, zapewniona sympatya słuchaczów dla „płci pięknej i słabej,“ wygodne przywileje — jak tu nie marzyć o podobnej rozkoszy! Śpiewa się źle, ale czarownemi usteczkami, więc krytycy omdlewają z zachwytu; upadnie chusteczka — połowa sali spieszy, aby ją podnieść. A w Towarzystwie muzycznem — co? Pomieszani z sobą i równouprawnieni ludzie. Szkoda czasu i atłasu, a nawet drogiej wełny. A więc, skarżąc się na niesprawiedliwość podziału, podtrzymujmy kastę męzką i żeńską.

Dla ostatniej urządzono wystawę pięknych okazów w Spaa. Ktoś przed paru miesiącami drażnił tą myślą prasę naszą, ale go wypłoszono. Wezwana na świadka moralność zeznała pod przysięgą, że taki turniej uwłaczałby godności kobiecej i sprzeciwiałby się dobrym obyczajom, że żadna porządna nieprzyjęłaby w nim udziału. Stwierdzono tedy niezbicie, że my, a raczej nasze pisma mają nieprzezwyciężony wstręt do wystawiania na pokaz publiczny pięknych kobiet. Ale nareszcie cudzoziemcy, którzy mniej mają skrupułów, urządzili taki popis w Spaa. I cóż my? Naturalnie, poczuliśmy odrazę, nie chcemy nic o tem zgorszeniu wiedzieć, zakrywamy oczy i zatykamy uszy... Ale gdzie tam! Posyłamy na wystawę własnych korespondentów, którzy nam piszą a my ich sąd podzielamy: „Od kilku tygodni wszyscyśmy tutaj, ilunas jest kuracyuszów i turystów, w *gorączkowem* oczekiwaniu... Wystawa zapowiada się świetnie i będzie *jedyną* pod względem *oryginalności* pomysłu... Nic więc dziwnego, że próba tego *wspaniałego* konkursu budzi *niezmiernie żywe* zajęcie i ciekawość.“ I to czyta ten sam naród, i to pisze ta sama jego prasa, która przed paru miesiącami stawiała pod pręgierzem śmiałka, który chciał w Warszawie urządzić podobny „wspaniały konkurs“ i zbudzić dlań „niezmiernie żywe zajęcie.“ Ileż on dostał batów i szturgnięć! Jeżeli teraz uda się do jakiejś redakcyi, pełniącej służbę westalki u świętego ognia dobrych obyczajów, i spyta, za co go obito, nie zgaduję, jaką otrzyma odpowiedź. Wprawdzie są moraliści, którzy w kraju wstrząsają się na widok książki Renana a za granicą tańcują kankana w Mabile'u, ale nigdy nie próbują związać tych dwu liczników swej etyki wspólnym mianownikiem. Tyle w nas jeszcze zostało helenizmu, że chętnie przypatrywalibyśmy się wystawie pięknych kobiet, ale tak wiele nosimy w sobie ascetycznej obłudy, że ona nam pozwala smakować w grzechu tylko po za własnym domem. Co do mnie, ani w Spaa nie widzę „konkursu wspaniałego,“ ani w Warszawie nie widziałbym „zdrożności.“ Piękno jest potężnym i dobroczynnym pierwiastkiem natury, stanowi jeden z objawów jej geniuszu, zawsze godny tego, ażeby dlań rozszerzać źrenice, a nie zamykać powiek. Przyroda z pewnością nie najmniej szczyci się swemi uroczemi córkami. Tylko, niestety, my nie umiemy ich podziwiać szczerze, artystycznie, uczuciem czystem i wyniosłem, jak grecy starożytni, bośmy zwyrodnieli, zamienili się na lubieżnych satyrów z maskami świętoszków, patrzymy na piękno kobiety, nie jak artyści, ale jak łakomi i żarłoczni smakosze. W Spaa więcej przemknie przez głowy żądz namiętnych, niż zachwytów estetycznych. Ponieważ zaś wystawione tam „okazy“ wiedzą o tem, przyjmując udział w turnieju godzą się z tym gorącym deszczem spojrzeń a przez to dowodzą pewnego zobojętnienia na swą godność ludzką. Gdyby je oglądały tylko oczy artystów i czcicieli piękna, nie wahałbym się nazwać takiej wystawy uroczystem świętem, w którem uczestniczyć by mogła nauczcicwsza i najrozumniejsza kobieta; ale szkoda jej na widowisko dla rozpustników, plugawców, wesołych łobuzów i zmateryalizowanych pospolitaków, którzy wobec cudnych tworów natury umieją tylko się oblizywać. To nie biesiada uczuć czystych, ale tokowisko namiętności. Kobieta piękna, jak każda inna muza, powinna objawiać się jedynie wybranym, którzy ją uczcić potrafią. Innym niech się ukazuje tylko wtedy, kiedy chce być artykułem żywności dla wszystkich.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Kto nas zna i w jakim celu poznaje? — Różowy pogląd niemca na nasze stosunki rolne. — Hasło zbawienne. — „Malowane groby.“ — Dzierżawca rozsiewający promienie. — Nędza i choroba. — Gdzie lekarze? — Wojny o pastwiska. — Włościanie miłosierni. — Pieniactwo. — Dotykalny wpływ kolejowych oszczędności na podróżnych.

Nie przesadzę, twierdząc, że my siebie nie znamy. Brak nam orlich skrzydeł, abyśmy mogli wzlecieć i z wysoka przyjrzeć się sobie. To jest przyczyną, że dotychczas nie mamy dokładnego pojęcia o całości, łatamy się strzępkami szczegółów, o które trzeba walczyć zaciekle z milczącemi instytucyami lub jednostkami. Za to zagraniczni badacze potrafili poznać każdą piędź naszej ziemi. Gdy niemieccy koloniści, tępiciele lasów, przemysłowcy dążą do nas, nie myślmy, że idą na oślep. Wiedzą oni doskonale, gdzie można fabrykę założyć, młyn budować itd. Od czegóż są robione przez nich dokładne mapy poglądowe naszego kraju ze szczegółowem oznaczeniem miejscowości przydatnych dla obcych przedsiębiorców? Świeżo kapitan Timm na niemieckiem zgromadzeniu rolniczem w powiecie inowrocławskim wygłosił odczyt, zdradzający znajomość rzeczy i sumienne badanie nie przez ciekawość. Od dawna — powiada — przyzwyczailiśmy się stosunki rolnicze Królestwa Polskiego oznaczać ogólną niepochlebną nazwą: „polskie gospodarstwo“ (*polnische Wirtschaft*). Pomimo to tamtejsi obywatele ziemscy mają się lepiej od nas i ciągle jeszcze, nawet przy podniesionem cle, zbożem nas zasypują. Jaka tego przyczyna? Oto koszty produkcyi stoją tam jeszcze w normalnym stosunku do cen zboża; ziemia, nie wystawiona na grę spekulacyi, nie jest przeplacaną, dobra nie są zanadto obciążone (?) długami hypotecznymi. Robotnik, dzięki ukazowi z r. 1864, przywiązany do miejsca, nie jest za drogi, wreszcie całe urządzenie gospodarstwa prowadzone jest więcej po staremu, zwyczajnie, niekosztownie. Przeciwnie u nas, staramy się ziemię szybko do najwyższej wydajności doprowadzić, nie zważając bardzo często na nasz stan finansowy i przedewszystkiem, przy używaniu sztucznych nawozów, na warunki geologiczne i klimatyczne, mianowicie w prowincyach wschodnich. Królestwo Polskie jest jednym z krajów, posiadających najżyzniejszą i najodpowiedniejszą ziemię pod uprawę pszenicy. Gubernie kielecka, lubelska, na północo-wschód suwalska, cały skraj od Warszawy do granicy pruskiej, tak są wydajne i żyzne, że nawet przy nieco zaniedbanem gospodarstwie, przy średnich zbiorach, wytwarzają zboże na wywóz i inne kraje zaopatrzyć mogą. Co do kultury, to są wprawdzie okolice bardzo zaniedbane, przedewszystkiem północne, ale jednak pomimo różnych przeszkód i trudności powolny, lecz ciągły widać postęp ku lepszemu. W gub. warszawskiej, kaliskiej, piotrkowskiej, przedewszystkiem w płockiej, ziemia bywa uprawiana z wielką starannością, nietylko przez gęsto osiadłych tam niemców, ale i polaków. Ziemia Dobrzyńska w Mazowieckiem, z wyborną glebą gliniastą, z dawien dawna sławną ze swej urodzajności, może wykazać cały szereg dóbr, które i u niemców uchodziłyby za gospodarstwa wzorowe. To samo w Hrubieszowskiem, gdzie znakomity czarnoziem posiada stosunkowo dość wysoki stan kultury. P. Timm zwraca uwagę, iż w ostatnich czasach robiono u nas często doświadczenia z uprawą cykoryi; rezultat był dotychczas zupełnie zadawalniający. Sprzątano przeciętnie po 180 centnarów z morga, ze za centnar płacą po 60 kop., prawdopodobnie więc się powiększy uprawa tego ziemiopłodu, tem bardziej, że się zadawalnia lżejszą glebą, a urządzenie suszarni nie wymaga zbyt wielkich kosztów. Gorzelnictwo — jak utrzymuje p. T. — wogóle upadło. Tylko gubernie sąsiadujące z Cesarstwem wytwarzają dość dużo spirytusu. Obecnie, przez nowe opodatkowanie gorzelni w Niemczech, polscy wytwórcy spodziewają się u siebie rozwoju przemysłu gorzelniczego.

Pomijam wiele innych szczegółów i trafnych uwag o hodowli bydła, koni itd., a przechodzę do wielce ciekawych, ogólnych. Trzy czynniki — powiada p. T. — stały dotychczas na drodze rozwojowi polskiego gospodarstwa: brak instytucyj kredytowych, dróg komunikacyjnych, wysokie cło na wwóz i wywóz. Nizki kurs rubla, *nizkie obciążenie*(?) hypoteki dóbr (Ziemstwo kredytowe np. pożycza po 6%, z których 1% idzie na umorzenie, najwyżej do sumy 80 razy większej, niż podatek gruntowy), ceny ziemi bez porównania niższe, niż w Niemczech — sprawiają, że obywatel Królestwa taniej towar wytwarzając, ma się lepiej, niż rolnik niemiecki. P. T. boleje, że nałożone cło w jego kraju chybiło celu, bo było za nizkie. Wogóle — powiada dalej — w Królestwie ze wszystkich stron starają się, aby zagrożonym właścicielom ziemskim dopomódz. Rząd uznając, że w rolnictwie leży punkt ciężkości dochodu podatkowego, coraz więcej zwraca uwagę na to, aby środki komunikacyjne rozszerzyć i ułatwić, drogi żelazne zniżają ceny przewozu produktów rolniczych do minimum, przedsiębiorcy my-

słą tam o składach zbożowych. Niemiec, różowo patrzący na stosunki nasze, zatrwożył się o własną skórę i radzi rozpaczliwie swym współbraciom przybrać hasło: „Precz z wolną przewózką tranzytową!“ albo: Oclenie każdego kilo zboża przy przewozie! Cło nie powinno być niższe, jak 70 marek za żyto i pszenicę!“ W ten sposób — dodaje — zdołamy się tylko ocalić.

Radbym ten pogląd niemca (wprawdzie nie we wszystkich szczegółach wierny) rozpowszechnić pośród naszych rolników; może żeby to ducha w nich podniosło, znana bowiem jest cecha natury ludzkiej: słaby i bezsilny nawet, gdy przestraszy kogo przypadkiem, czuje w sobie budzącą się energię. Niemcy zaś nie odznaczają się tchórzostwem, a jeśli się boją naszego przemysłu rolnego, muszą mieć pewne podstawy. Ciekawym, jak też tłomaczą sobie naszo ciągłe lamenty; jako obłudę, niedołęztwo, czy też wrodzony nałóg stękania? Jak dawniej bez miodu i wina, tak dziś bez stękania pogawędki szlachcie nie mogą się obejść. Gdzie zaś dostatek nie daje jeszcze powodów do utyskiwań, tam oto, co pisze z okolic Szydłowca korespondent *Gazety radomskiej*, malejący dobrowolnie wobec „rodowodów dawnych i pozostałości rozległej przodków fortuny“: „tam duma stoi na straży skarbów wiedzy, jak również przychodów skarbnicy, stamtąd wieje chłód straszny i odpycha nieszczęśliwego profana, bez względu, czy jego umysł spragniony, czy żołądek głodny. Więc omijamy te malowane groby, chroniąc się pod słomiane strzechy, bo tu choć nizko i ciasno, ale ciepło i jasno.“ Niezbyt cenne muszą być te *skarby wiedzy*, na których straży stoi duma herbowa; to też owi „nieszczęśliwi profani“ omijając je, więcej skorzystają, niż stracą. Śród tych „grobów malowanych“ wlewa życie pozbawionym dóbr i wygód ziemskich młody dzierżawca o wyższych zdolnościach i szlachetnych porywach, który, pomimo zaprzątania się mozolnem gospodarstwem, chociaż „ubocznymi promieniami swego umysłu przyświeca miastu i okolicy.“

Są miejscowości, gdzie żadne promienie nawet ukośnie nie dochodzą. We wsi Kletno od wiosny panuje tyfus i zabiera mnóstwo ofiar. Włościanie nietylko nie wzywają lekarza, bo na to ich nie stać, lecz nawet felczera. Prawie wszyscy przechorowali, a 30% z nich zmarło. Całe rodziny zapadły na tę chorobę odrazu, tak, iż sąsiedzi przychodzili strawę gotować i bydła doglądać. Grasuje ona również i w innych wsiach okolicznych. W promieniu kilkomilowym umarło od wiosny przeszło 150 osób. Na tej przestrzeni musi być choć jeden lekarz i przynajmniej dwóch felczerów. Chorzy ich nie wzywają, bo nie mają czem płacić; więc cóż robią ci stróże zdrowia publicznego? Niepodobna, aby im praktyka śród posiadaczów trzosów pełnych wszystek czas zabierała. Jeśli mają mózgi i serca znieczulone środkami swego fachu, to należałoby ich pozbawić praw obywatelstwa.

W czasach, kiedy nawet szlachta zaczyna pisać o „zbliżeniu dworu do chaty,“ znamienny rys przedstawiają sprawy w S., dobrach hrabiego Ch... Od kilku miesięcy toczą się tam zażarte walki o pastwiska, a wierne sługi pańskie gorliwość swą życiem przepłacają. Niedawno ekonom, na czele czeladzi, usiłował na łące spornej zająć bydło chłopskie. Skutkiem tego między parobkami i włościanami zawiązała się bójka, w której padł trupem ekonom ugodzony kołem w głowę. We dwa tygodnie później jeden z ludzi dworskich zajął bydło i pomimo oporu pastuszków, zapędził je do stodoły. Na wieść o tem przybyło ze wsi kilkunastu mężczyzn i kobiet z żądaniem wypuszczenia bydła: gdy ich nie usłuchano, rzucili się z kołami i cepami na parobka, który srodze pobity w kilka godzin skonał. Kilkudziesięciu włościan uwięziono, a sprawa o pastwisko, pomimo tylu ofiar, nie jest jeszcze załatwioną. C[illegible]a gra na namiętnościach ludzkich musi wywołać uczucie zbliżone do szału, popychającego w końcu do zbrodni. Na kim więc ciąży w wypadkach powyższych odpowiedzialność moralna, łatwo każdy wskaże. Ten lud „dziki“ i ciemny, rwący się na przeciwników z drągami i cepami pod wpływem silnego podrażnienia, bywa miękki na nieszczęścia ludzkie i umie swą dobrocią stępić blask „jasnych“ i upokorzyć ich dumę rodową. W gub. kaliskiej właściciela zachwianego w interesach, ostatecznie podcięła klęska pożaru. Budynki, ani zboże nie były ubezpieczone. Dziedzic naciskany przez wierzycieli, już był bliski opuszczenia ojcowizny, ale ocaliła go nadspodziewana pomoc sąsiada i włościan ofiarujących darmo robociznę. Zastanawiałem się nieraz nad tem, gdzie jest źródło cech dodatnich u ludu i na mocy własnych spostrzeżeń przyszedłem do przekonania, że się one kryją i kształcą pod siermięgą. We wsiach bardziej odległych od dworu zawsze panuje większa moralność, niż w sąsiadujących z folwarkami.

Cechą nabytą jest pieniactwo, uprawiane dawniej zaciekle śród szlachty zagrodowej. Kto wie, czy tą drogą nie przeszło ono do ludu pod Bełżycami w Lubelskiem. Choroba ta szerzy się złośliwie bez przeszkód, a sądy gminne pocą się, mając nawał roboty. Parobek pozywa gospodarza swego za cztery snopki zboża niedodane do ordynaryi i ocenione po 20 groszy jeden. Skarżący żywił dwóch świadków, zmarnował cały dzień roboczy i stracił trzy razy tyle, co warte zboże. Włościanka skarży swego sąsiada za trzymanie psa, który jej rozdarł spódnicę:

— Ile kosztowała? — zapytuje sędzia.

— Pięć złotych.

— A właściciel psa nie chciał się z wami pogodzić?

— Owszem, dawał mi dwa złote, ale ja nie chciałam.

— Bójcie się Boga, kobieto, przecież wam sąd całej żądanej sumy nie przyzna, bo spódnica w jednem tylko miejscu rozdarta.

— Nic nie szkodzi, wielmożny sędzio, ale co wyrok, to wyrok.

Sądy gminne w tych razach najskuteczniej mogłyby swym wpływem przeciwdziałać pieniactwu.

W tych dniach, jadąc do Łodzi, miałem sposobność przypatrzeć się niektórym oszczędnościom kolejowym. W wagonie drogi Fabrycznej znalazłem się obok młodych małżonków z synem czteroletnim. Byliśmy dzisiaj w śmiertelnym strachu o to biedactwo — opowiadali. Przed pociągiem, odchodzącym z Warszawy o 6-ej z rana, był tłok niesłychany; ledwieśmy zdołali przemocą wsadzić dziecko do wagonu i stanęli sami na stopniach, gdy wtem poczuliśmy ręce za swymi kołnierzami. Ściągnięto nas brutalnie, pomimo zaklęć i przekonywań, że dziecko bez opieki na niebezpieczeństwo jest narażone. Pociąg popędził z poobwieranemi drzwiami w wagonach. Synek jakimś cudem szczęśliwie dojechał do Koluszek, gdzie go, na naszą depeszę, wysadzono. Sami dopiero w pięć godzin później mogliśmy podążyć dla odszukania dziecka. Opowiadanie tak mię zajęło, żem się nie spostrzegł, jakeśmy stanęli przed przystankiem w Andrzejowie. W minutę ruszyliśmy dalej. Dlaczego tu nie dzwonią przed odejściem pociągu? — zapytałem. Bóg ich raczy wiedzieć — odpowiedziano mi. W Łodzi także nie dają sygnałów, prawdopodobnie dlatego, aby dzwon i dzwoniący nie obciążyli zanadto budżetu. W „polskim Manczesterze,“ równającym się połowie Warszawy, towar gra pierwszorzędną rolę. Dlatego też sale dworca kolejowego musiały mieć pierwotne przeznaczenie dla bawełny, bo nie mają pozoru schronienia dla ludzi.

Drogomir.

NOWA USTAWA

Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w Królestwie Polskiem.

Świeżo ogłoszony statut w pierwszych artykułach wyjaśnia, iż korespondencya Towarzystwa z instytucyami rządowemi, oraz osób prywatnych z Towarzystwem, uwolniona od podatku stemplowego. Podatek ten jednak opłacają Listy zastawne i wszelkie dokumenty, potrzebne przy operacyi pożyczkowej. W art. 8 zamieszczono taksę dla rejentów. W rozdziale III znajdują się pomiędzy innymi przepisy o wydawaniu pożyczek na własność ziemską, objętą prawem z d. 19 lutego 1864 r. Wiadomo, iż na mocy Najwyższego rozporządzenia z d. 3 lipca 1871 r. pozwolono wydawać pożyczki w Listach zastawnych Towarzystwa na posiadłości włościańskie, zawierające więcej niż 90 morgów i posiadające hypotekę gubernialną, lecz pod warunkiem, że w razie sprzedaży za należność przypadającą Towarzystwu z takich posiadłości, nie powinny być do nich stosowane czasowe ograniczenia, obowiązujące przy sprzedaży gruntów włościańskich. Rozporządzenie to następnie szerzej objaśniono przez ministra skarbu w r. 1872, mianowicie: zastrzeżenie co do obszaru 90 morgów stosuje się tylko do gruntów podciągniętych pod ukaz z d. 19 lutego 1864 r., na każdą zaś inną własność, posiadaną przez włościan z prawami nieograniczonemi, niezależnie od ukazu z r. 1864, włościanie mogą otrzymywać pożyczki w ścisłem zastosowaniu się do art. 2 (pożyczki dla włościan) ustawy Tow. kred. ziemsk. z r. 1869 o udzielaniu nowych pożyczek, chociażby własność ta nie zawierała w sobie 90 morgów. W nowej ustawie punkty powyższe uległy następującym zmianom: Pożyczki wydawane być mogą na majątki, co do których prawo własności jest nie ograniczone żadnemi postanowieniami, oraz na działy włościańskie, podchodzące pod ukaz z 19 lutego 1864 r., jeżeli prawo własności co do wzmiankowanych działów zawarowane jest w księdze hypotecznej przy sądach okręgowych i jeżeli działy nadto należycie są rozgraniczone, nie składają się z szachownicy i zawierają więcej niż 90 morgów. Na grunty włościańskie, które w części składają się z działów, podchodzących pod ukaz z r. 1864, a w części z własności nabytej niezależnie po ukazie, pożyczki mogą być wydawane nawet w tym wypadku, jeżeli obszar tych gruntów jest mniejszy, niż 90 morgów. Do działów włościańskich, wymienionych w powyższym artykule, nie mogą być zastosowane przy sprzedaży ich przez Towarzystwo kredytowe czasowe ograniczenia co do nabywców, ustanowione ukazem z d. 19 lutego 1864 r. Prawa więc włościan, pragnących korzystać z pożyczek Towarzystwa kredytowego, pozostały te same, co i poprzednio.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Uniwersytet warszawski. Dnia 11 b. m. odbył się uroczysty akt zamknięcia roku naukowego. Pierwszy wygłosił mowę rektor p. Ławrowskij. Na mocy uchwały kwietniowej podwyższona zostaje opłata wpisu od studentów. W Cesarstwie podwyżkę tę już dawniej zaprowadzono; w Warszawie była ona od dawna konieczną ze względu na potrzebę pokrycia różnych potrzeb, które mogą być zaspokojone tylko z tego źródła dochodów. Praktyczność tego środka wykaże najlepiej przyszłość, ale tylko co do liczby studentów, może ona — jak zauważył p. Ławrowskij — oddziałać ujemnie. Następnie rektor wyraził żywe zadowolenie, iż zaburzenia, które trapiły uniwersytety w Cesarstwie, Warszawę w r. z. ominęły zupełnie. Zdaniem p. Ławrowskiego słuszną jest uwaga, że źródło tych objawów znajduje się nie w sferze studenckiej, ale zewnątrz. Prądy te od ćwierć wieku datujące się, nie mają nic wspólnego z interesami życia studentów i powinny być im obce. Chociaż doświadczenie przychodzi dopiero z latami, ale już z tego przykładu ćwierćwiekowego młodzież uniwersytecka powinna zrozumieć, że używana jest tylko za narzędzie, jako materyał łatwo zapalny, że owe prądy, w których nurtuje rozkład społeczny, przynoszą im tylko zwichnięcie przyszłości, że udział w tych ruchach kończy się aresztowaniem i zesłaniem i że najskuteczniejszym środkiem zabezpieczenia się od nich zgubnego wpływu jest praca.

gorliwa nad gruntownem wykształceniem własnem, spełnianie swych obowiązków i poszanowanie praw.

Ministeryum dóbr państwa odbywa obecnie próby nad hodowlą maku, celem zachęcenia następnie rolników do wytwarzania opium, przywożonego dotychczas w wielkiej ilości z zagranicy.

W gub. nadbałtyckich od 13 b. m. wprowadzono we wszystkich szkołach miejskich wykłady w języku ruskim.

Odmowa. *Neuer Tageblatt* pisze: „Starania osobiste namiestnika alzacko-lotaryńskiego, ks. Hohelohe-Schillingfürst w sprawie milionowego dziedzictwa w gub. mińskiej i witebskiej, nie przyniosły żadnego rezultatu. Prośbę namiestnika, aby jemu lub też synowi pozwolono objąć w posiadanie spadek, nie przyjmując poddaństwa ruskiego, odrzucono w najwyższych sferach państwowych, jako sprzeciwiającą się prawu."

Oszczędności. Zarząd kolei Nadwiślańskiej polecił przy układaniu budżetu na rok przyszły poczynić oszczędności rs. 10,000 na pensyach urzędników, służących na linii. Między skazanymi na uszczuplenie płacy, jest zaledwie kilku biorących po 1,500 i 1,000 rubli, reszta zaś (zawiadowcy, ekspedytorowie itd.) pobiera zaledwie po kilkaset rubli.

Salon artystyczny spółki malarzów, rzeźbiarzów i architektów otwarto 15 b. m.

W Bostonie przy uniwersytecie otwarto katedrę narzeczy słowiańskich.

Przytułek dla inwalidów kolejowych otwarto d. 11 b. m. w Orchowie pod Włodawą.

Graždanin donosi, iż wobec tego, że opiekunowie nie zwracają nieraz należytej uwagi na wychowanie powierzonych im nieletnich, istnieje projekt wyznaczenia surowej kontroli. W tym celu postanowiono utworzyć przy radach familijnych komisye nadzorcze, których obowiązkiem będzie sporządzanie przepisów w tym przedmiocie dla opiekunów, oraz kontrolowanie ich czynności.

Karty pobytowe dla niestałych mieszkańców Warszawy mają być zniesione wskutek małych dochodów z ich wykupu.

Towarzystwo drogi Bydgoskiej wystąpiło z podaniem o uzyskanie koncesyi na budowę odnogi kolejowej od stacyi Włocławek do Wisły. Ministeryum komunikacyi odmówiło, a natomiast zaproponowało przeprowadzenie takiejże odnogi od Ciechocinka do Wisły.

Ustawa kasy pożyczkowo - oszczędnościowej dla urzędników zarządu powiatowego makowskiego gub. łomżyńskiej uzyskała zatwierdzenie ministeryum spraw wewnętrznych.

Przeciw dzieciobójstwu. Z powodu powtarzających się często wypadków dzieciobójstwa, sfery administracyjne projektują otworzenie w różnych miejscowościach przytułków dla dzieci nieprawych. Koszt utrzymania mają w części ponieść gminy wiejskie i miasta.

W Chicago ukończyło pierwszy kurs w nowozałożonej szkole akuszerek polskich pięć kobiet.

Ustawa aptekarska. W departamencie lekarskim ministeryum spraw wewnętrznych opracowano ostatecznie nową ustawę aptekarską. Dla uzyskania stopnia magistra farmacyi niezbędnem będzie słuchanie w uniwersytecie lekcyj w ciągu ośmiu półroczy. Kobiety farmaceutki, posiadające odpowiednie stopnie naukowe, korzystają z praw na równi z mężczyznami. Prawo otwierania aptek posiadają tylko uzdolnieni farmaceuci. Projekt ustawy rozesłano towarzystwom naukowym i specyalnym lekarskim do zawyrokowania.

Pijaństwo szerzy się tak dalece pomiędzy damami z arystokracyi angielskiej, że uznano za konieczne utworzenie dla nich zakładu leczniczego. Członkowie najpierwszych rodzin arystokratycznych ofiarowali na ten cel znaczne sumy.

Szkoły. Nowe programy szkół realnych znacznie skróciły wykład matematyki na rzecz języków nowożytnych, francuskiego i niemieckiego.

— W uniwersytecie tomskim lekcye rozpoczęły się 18 b. m. Studentów przyjęto 64. Większość stanowią seminaryści. Otwarto dom ogólny dla studentów, zbudowany kosztem ofiar prywatnych.

Z Baku donoszą, iż 10 b. m. w nocy w Bałachnie spaliło się jezioro nafty i magazyn mieszczący około 30,000 pudów tego produktu. Straty olbrzymie.

Wynalazek. *Figaro* donosi, iż kapitan Rénard wynalazł prawdziwy sposób sterowania balonami.

W Baltimore w Stanach Zjednoczonych na konkursie na podręcznik okulistyki, otrzymała pierwszą nagrodę polka, p. Zofia Oblęcka, doktorka medycyny.

P. Holewiński, inżenier zamieszkały w Paryżu, wezwany został przez Lessepsa do robót przy kanale Panamskim. Poprzednio pracował przy budowie dróg żelaznych w Bułgaryi.

Hr. Tadeusz Koziebrodzki mianowany został sekretarzem ambasady austryackiej w Paryżu. Poprzednio zajmował także stanowisko w Londynie.

Bibliografia. W Kijowie wyszła w odbitce z *Kijewsk. Staryny* charakterystyka osoby i działalności Leonarda Sowińskiego.

Katastrofa. Z Rzymu telegrafują, iż okręt francuski „France" zatopił statek włoski „Amerykę"; 90 osób utonęło, w tej liczbie najwięksi tenorzy włoscy, Tamagno i Stagno.

Zmarli. Juliusz Leon Au w Dublanach, b. dyrektor szkoły rolniczej w Żabikowie. W ostatnich czasach wykładał ekonomię i administracyę w szkole rolniczej dublańskiej i cieszył się tam powszechnem uznaniem. Pisywał po polsku i po niemiecku z dziedziny umiejętności społecznych. Liczył lat 46.

Ogłoszenia.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 9 Сентября 1888 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.